Nr. 26. Lwów. — Sobota dnia 1 lutego Rok 1890

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez doręczenia: Miesięcznie zł. 75 ct., Kwartalnie 2 „ 25 „, Półrocznie 4 „ 50 „, Rocznie 9 „ — „.

Na prowincji z przesyłką pocztową: Miesięcznie 1·10 zł, Dwumiesięcz. 2·10 „, Kwartalnie 3·— „, Rocznie 12·— „.

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie przyjmuje się wyłącznie w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku, inną się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę zamiejscową przyjmuje się tylko w Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej l. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratorów przysyłać prenumeratę przekazem pocztowym, a nie w kopertach. Osoby przysyłające prenumeratę w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenumeratę we Lwowie przyjmują:

Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2.
„ przy ulicy Karola Ludwika liczba 3.
„ „ „ Jagiellońskiej liczba 4.
„ „ „ Słowackiego (obok łazienek Djany)
Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Ignacego bisk. Jutro: E. Starz. NMP. Grom. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 7 m. 37, Zachód „ 4 „ 52 | Długość dnia 9 g. 15 m. Przybyło dnia 4 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 31 stycznia.

Bulanżyści tracą na łeb na szyję mandaty poselskie, policzkują się publicznie i na każdym kroku pokazują, że do reszty stracili tę odrobinę zmysłu politycznego, jaką posiadali dawniej w mniemaniu łaskawych dla nich ludzi. Śmiertelny cios zadało im przymknięcie do antisemitów, bo tylko w semityzmie, jako w żywiole rozczynającym, mogli znaleźć ewentualne poparcie w swej burzycielskiej robocie. Potem wnet, konając, ośmieszyli się nieuctwem i brakiem zmysłu do pojmowania prądów, istniejących w tej chwili. Jak wiadomo, kult carosławia upada we Francji; myśl polityczna, przeraziwszy się bezpłodności militarnych wysiłków, bierze tam inny kierunek, o czem wnet będziemy mówili. I w tej to właśnie chwili bulanżyści wystąpili z manifestacją, która podwójnie ich ośmieszyła: na środowem zgromadzeniu w Paryżu uchwalili dziękczynny adres do cara za to, że on w roku 1875 nie pozwolił Niemcom drugi raz rzucić się na Francję. Nie może być w polityce nic śmieszniejszego nad taki popis, bo raz że dawno już upadła legenda, puszczona przez ks. Gorczakowa, jakoby Niemcy chciały wypowiedzieć wojnę Francji w roku 1875, a powtóre, że gdyby nawet tak było, to car teraźniejszy nie mógł tej woli powstrzymać, bo wówczas jeszcze nie panował. Krzyżyk trzeba położyć na bulanżyzmie: już się nie odrodzi.

Objawem nowym zwrotu od carosławia, objawem skierowania się myśli politycznej na nowe tory, jest — po tem wszystkiem, co już zapowiadało ów kierunek, — pojawienie się broszury pułkownika Stoffela. Wczorajszy telegram zapowiedział wydanie jej, a dziś otrzymaliśmy depeszę, która podług relacji Figara streszcza tę rozprawę. Pułkownik Stoffel, Alzat, jest znanym w Europie wojskowo-politycznym pisarzem, spełniał różne militarno-dyplomatyczne misje, osobiście znał wielu mężów stanu i jest w swej specjalności taką powagą, jak np. Brialmont w sztuce fortyfikacyjnej. Z tego powodu broszura jego jest wypadkiem.

Posłuchajmy jego rozumowań. Pułkownik pisze:

Żaden rząd francuski nie jest w stanie i nie odważy się rozpocząć akcji, któraby doprowadziła do zgody lub choćby tylko do pewnego porozumienia z Niemcami, dopóki one nie naprawią ciężkiego błędu, popełnionego przez zabór Alzacji i Lotaryngji. Przez utratę tych prowincyj Francja stała się krajem otwartym, niezabezpieczonym od inwazji, a więc krajem, który musi ciągle stać z bronią na ramieniu, niby szyldwach na straży własnej samoistności. Od Metzu, który jest w rękach niemieckich, do Paryża tylko 12 dni marszu, i to bez żadnej przeszkody naturalnej, żadnej obrony sztucznej. Tymczasem od granicy do Berlina dni marszu 40, a są tu oprócz twierdz licznych takie zasłony jak Ren i Łaba. Więc oczywiście, aby Niemcom dorównać, Francja potrzebuje liczniejszej niż one armji, ciągle tedy odpowiednio zmienia swą militarną ustawę, ale tej równości Niemcy nie chcą i natychmiast także powiększają armję. Tak wytworzyła się ta zabójcza rywalizacja, a Francja nie może z tych szranek wystąpić, nie dla tego, że chce być silniejszą i pobić Niemców, ale że musi być zdolną do obrony. Każdy jednak się zgodzi, że jest to stan niemożliwy, rujnujący oba państwa ekonomicznie i cywilizacyjnie. Bismark to bardzo dobrze rozumie i raz sam to powiedział autorowi broszury, lecz jest to zrozumiałe, że nie może błędu naprawić. Raporta byłego francuskiego ambasadora w Berlinie, margrabiego St. Valliera świadczą o tem, iż tę sytuację kanclerz doskonale rozumie, wie, iż pętla wciąż się zaciska w około szyi niemieckiej, a końce tej pętli trzymają dwie armje — francuska i rosyjska — liczące społem sześć miljonów bagnetów. Sześć miljonów! — olbrzymia cyfra, a jednak to nie cała potęga, która się zwali na Niemcy, to właściwie tylko trzecia jej część. Jak ten błąd naprawić?

Dopóki Francja widzi przed swą piersią nabity niemiecki rewolwer, dopóty musi być niemą współniczką Rosji, sojuszniczką jej bez sojuszu, parobkiem caratu, a to nie z sympatji do Słowian, lecz jedynie przez poczucie samoobrony. Tylko dobrowolny zwrot Alzacji i Lotaryngji może ten stan zmienić — zwrot obu prowincyj, bo oddanie jednej Lotaryngji nie wystarczy. Ren musi być granicą. Niemcy mogą zażądać wynagrodzenia w pewnej sumie, oddając przez to wszystkie nadreńskie twierdze i na to Francja się zgodzi. Następstwem tego będzie prawdziwy pokój europejski.

Bo dziś jest ciągła klęska Europy, tylko niekrwawa, choć śmiertelna. Rosja zgodnie wygrywa bitwy, rośnie i potężnieje. Kosztem Europy rozwinęła swój przemysł, uregulowała budżet, wzniosła olbrzymi a gruby łańcuch twierdz, czuje już swą potęgę i mnoży w swych granicach wszelkie cywilizacyjne żywioły. Z każdym dniem coraz widoczniej zarysowuje się jej twarz azjatycka, jej duch mongolski, nienawidzący cywilizacji europejskiej. Ona tuczy się waśnią zachodnich narodów, a gdy one osłabną w skutek tej waśni, rzuci się na nich i pognębi. Któż pierwszy padnie na jej kły? Przecie nie Francja, lecz rzecz „naddunajskie prowincje", a potem „berlińska gubernja" — nie Francja tedy ma pierwszy obowiązek zmiany dzisiejszego stanu.

Jeśli Niemcy dobrowolnie oddadzą zabrane prowincje, wnet powstanie sojusz franko-niemiecki; do niego przymkną wszystkie narody cywilizowane, nawet Turcja — i wtedy nastanie trwały i prawdziwy pokój, szanujący ludzkie prawa, albo wybuchnie jedna a dobra wojna cywilizacji z barbarzyństwem.

Czy się znajdzie niemiecki mąż stanu tak odważny, że się odważy cofnąć rewolwer nakierowany w pierś francuską? pyta pułkownik Stoffel i wnet odpowiada: „Kiedyś, gdy już pętla bardzo ściśnie szyję niemiecką, gdy cesarstwo zacznie się dusić i gdy wskutek tego wszystko w niem pocznie się chwiać i zapadać, a przez granice wychyli się ogromna mongolska twarz z przeraźliwem śmiechem, — wówczas z omdlałej niemieckiej ręki wypadnie rewolwer skierowany w pierś francuską. Lepiej więc uprzedzić ten wypadek i przez to uratować się od zupełnego pogromu. „Niemcy są tak trzeźwi i tyle znakomitych mają ludzi, że powinni to zrozumieć" — kończy pułkownik Stoffel.

Zapewne, że zrozumieją — dodajmy od siebie — zrozumieją i dziś, kiedy do sojuszu ze sobą wciągają wszystko, co mogą, nie gardząc najmniejszą siłą. Ale właśnie to dowodzi, że nie myślą o rozwiązaniu, które proponuje Stoffel, chcą pierwej innego sposobu spróbować.

Więc nie dla tego na uwagę zasługuje broszura francuska, że jakieś nowe zapowiada konstelacje, lecz dla tego, iż jest objawem zwrotu we Francji od kultu rosyjskiego. Jeszcze kilka miesięcy temu ukamienowanoby Stoffela w Paryżu, dziś jego książka zrobi ogromne wrażenie.

We środę rozpoczęła się w rumuńskiej izbie debata nad aktem oskarżenia przeciw byłemu gabinetowi Bratiana. Jest to sprawa zadawniona, która jakby w kajdanach trzymała obóz liberalny, nie pozwalając mu wystąpić na polityczną arenę. Rozumieli to bojarowie i dla tego choć sami ten akt sporządzili, jednak nie wystąpili z nim wtedy, gdy stali u steru: woleli wroga trzymać na uwięzi. Dziś zmieniła się sytuacja. Gabinet potrzebuje sojuszu z liberałami, chce zdjąć z nich kajdany i dla tego postanowił skończyć z tem oskarżeniem. Nie ulega wątpliwości, że Bratiano będzie uwolniony od wszelkich zarzutów, bo one są zgoła bezpodstawne. Na wszelki jednak wypadek, gabinet postanowił nie angażować się do niczego i uchwalił nie brać udziału w dyskusji.

Korespondencje.

Wiedeń 29 stycznia.

(?) Dla znaczenia Austrji w Europie są bardzo ważne te głosy całej prasy zagranicznej o ugodzie, które się teraz odezwały, a wśród których zabrakło tylko głosu rosyjskiego. Nie jest że to charakterystyczne?! Nam, którym tak mocno leży na sercu potęga Austrji, przyjemnem jest bardzo usłyszeć, że cała Europa z wyjątkiem Rosji cieszy się z wewnętrznej konsolidacji austrjackich stosunków. W obec zaś tego co mówi prasa zagraniczna, tracą wszelkie znaczenie ciągłe ataki *Nowej Pressy*, piszącej dalej w duchu wręcz odmiennym, od tego, w jakim do dzieła ugody przystępowali przywódzcy opozycji. *N fr. Presse* wysuwa tylko osobiste kwestje, domaga się ustąpienia hr. Taaffego, domaga się nie ugody i porozumienia, ale objęcia władzy przez lewicę. Wprost śmiesznem jest to żądanie w chwili, gdy właśnie hr. Taaffe przez dzieło ugody pozycję swoje i swojego systemu na długie lata utrwalił. Albo redakcja *N. fr. Presse* działa na swoją rękę, buntuje się przeciw akcji własnej partji, albo tylko pewnym ukrytym osobistościom służy albo też może ma to być mądra z jej strony taktyka, może sianie nieufności, dalsze trwanie w opozycji ma być naciskiem na hr. Taaffego i na większość, ażeby przy przemianach ewentualnych uzyskać w następstwie ugody jak najwięcej korzyści dla lewicy. W każdym razie taktyka tego organu jest zgrzytem zgoła nie patriotycznym i mimowoli przypominającym niezadowolnienie Rosji z ugody. Nie pora przecież teraz na rekryminacje, ale na dodatnie usiłowania w celu rozwinięcia ugody i zastosowania jej w całem państwie.

Izba posłów Rady Państwa, która się zbiera za 5 dni będzie przedstawiała ciekawy widok, w tej Izbie jakoby na pozór dotąd nic się nie zmieniło, więc można oczekiwać, że debata budżetowa będzie gorąca. Lewica będzie krytykowała niejedno — chociaż ministra finansów nadzwyczajnie ceni, (to fakt!) ale bo przecież Carneri i podobni jemu teoretycy i doktrynerzy centralizmu germańskiego nie mają na tyle zmysłu politycznego, ani odwagi, żeby się odrazu zastosować do zmienionej sytuacji, inne zająć stanowisko, a raczej ustąpić z pola i złożyć mandaty — skoro dla ich popisów już nie ma miejsca.

Jednakże opozycja nie będzie już mostów za sobą paliła i po za opozycyjnym pozorem czuć będzie cała Izba i całe państwo, że umysły nad czem innem już laborują. Wogóle będą sprawy załatwione bez politycznej animozji — skoro po za Izbą, już w jej korytarzach zajmować będzie posłów tylko dalsza akcja ugodowa i naprawa stosunków izbowych. Ta właśnie akcja i intencja zdradzi się też niejednym objawem i powoli nowe przygotują się stosunki, zwłaszcza jeżeli i nowy minister bez teki wkrótce ręki do dzieła przyłoży.

Czeskie dzienniki przypuszczają, że większość dotychczasowa pozostanie i nadal; mnie się zdaje, że jest to zakrywanie umyślne przed samym sobą prawdziwego stanu rzeczy. Oczywista, że grupy Polaków, Czechów, niemieckich autonomistów dochowają sobie sojuszu, ale jeżeli opozycja zadowolniona przez załatwienie jej głównych grawaminów zacznie faktycznie przestawać być opozycją, to ta większość dotychczasowa musi z nią inny stosunek zawiązać. Łożnie obok siebie nie mogą stać grupy, które przestaną się zwalczać politycznie a przestaną, gdyż do takiej walki nie ma powodu. Prawica nie daje do niej żadnego; ani prawo czeskie, ani zapędy Lienbacherowskie nie będą obecnie przez nią popierane. Lewica zapewne nie zechce sytuacji na swoję niekorzyść obracać przez wznowienie n. p. kwestji języka państwowego. Dla obu stron Izby przedstawia się zatem potrzeba porozumienia się co do dalszego stosunku wzajemnego, co do dalszych zamiarów.

Po za Izbą powinien przykład ugody czesko-niemieckiej znaleść naśladowców, powinny strony same starać się dojść do kompromisu wszędzie, gdzie zachodzi spór z Niemcami, więc na Morawie, na Szlązku, w Styrji, Karyntji, Krainie. Drogą załatwienia szczegółów można wszędzie tam dojść do porozumienia i do zawieszenia broni. Gdy te sprawy przestaną niepokoić, a prawnopolityczne zeszły na razie z porządku dziennego, będzie więc można Izbie na podstawie nowego ugrupowania porozumieć się względem dalszego programu prac parlamentarnych, będzie można przygotować cały program dla następnego mającego wyjść z nowych wyborów Reichsratu. Byle takie działania równocześnie były podjęte, to skutek chybić nie może, a prezes rządu najusilniej im dopomagać będzie i okaże gotowość do dokończenia ewentualnych zmian w miarę wymagań innego położenia w Izbie, innego stosunku i charakteru stronnictw.

Zapewne nie od razu rozpocznie się ruch we wskazanych kierunkach. Posłowie i grupy posłów rozpatrywać się będą, nawzajem sondować; ale zwolna skrystalizuje się świadomość, że trzeba działać, że można działać, ażeby parlamentu zdrowie i wartość podnieść, a ugodę wyzyskać. Kto pierwszy dojdzie tej świadomości i kto pierwszy do dalszego dzieła się zabierze, zapewni sobie w niem przeważne stanowisko. To ostatnie piszę pod adresem Koła Polskiego.

Londyn 24 stycznia.

(*W.*) Obchodzę dziś 25letni jubileusz pobytu mego w Anglji. Moja gospodyni, mistress Cook, uraczyła mnie kolosalnym puddingem, a stary druh, sir Cobbins, przyszedł z butelką portweinu z przeszłego stulecia. Zasiedliśmy przed kominkiem — i popłynęła gawęda o przeżytem, przecierpianem, dalekiem i dlatego miłem.

Przez ćwierć wieku mógłbym się zrobić Anglikiem, gdyby mnie dobry Bóg nie obdarzył był zaszczytem należenia do Polski. Myślę, że polskie poczucie jest czemś nakształt owej z mitologji greckiej koszuli Dejaniry, którą się zdejmowało tylko z ciałem. Darujcie mi tę wzmiankę o sobie; kto z was długo żył na obczyźnie, ten mnie zrozumie.

Z tem wszystkiem dlatego wspominam o mojem 25leciu w Anglji, żeby z pewnym żalem zaznaczyć, że pierwszy raz sprawili mi zawód torysi. Lubiłem i lubię to stronnictwo, bo ono zawsze miało serce dla Polski; gdy przeciwnie wigowie nigdy go nie mieli. Ich bożek Palmerston rzekł z oburzającym spokojem: „Polska będzie wolną, gdy tego Anglja zechce." Mieć takie przekonanie i palcem nie ruszyć, a pomimo tego, przekonania to wygłosić — jest okrucieństwem. Drugi wielki wigh Russel drzemał przy kominku, gdy mu ks. Czartoryski opisywał barbarzyństwa rosyjskie w r. 1863; potem nagle się odezwał sennym głosem: „Dajże mi, książę, zdrzemnąć się!..." Tegoby się powstydził nawet D'Israeli, torys, ale nie z tradycji.

Tak, pierwszy raz nie mogę powiedzieć, że torysi mają słuszność. Stanęli w sprzeczności z całą swą polityką, która zawsze starała się godzić słuszność z interesami Anglji. Napaści na Portugalję niczem usprawiedliwić nie można, chyba nerwowem rozdrażnieniem Salisbury'ego. Lecz w tej sprawie cała Anglja wypadła z równowagi, dając co krok dowody dziwnej nielogiczności. Proszę osądzić. Zatarg powstał w końcu grudnia. Prasa tutejsza uderzyła na gwałt. Nie było pisma, któreby w wyrazach bardzo ostrych nie wzywało do krucjaty przeciw Portugalji. Aż jeden z ministrów musiał na publicznym mityngu wzywać dzienniki do rozwagi i szlachetniejszego traktowania „małego portugalskiego narodu". Nic nie pomogło; prasa żądała ostrych, najostrzejszych środków. Nareszcie 4 bm. przyszły raporta konsula w Mozambiku. Salisbury zamknął się na wsi, ale opinja i tam go bombardowała; sześć dni opierał się naciskowi, nareszcie odrazu rzucił ultimatum — krótkie, suche, impertynenckie. Depesza jego brzmiała: „Jeśli rząd lizboński do szóstej godziny wieczorem nie rozkaże władzom w Mozambiku wycofać się z kraju Makololo i Maszony, to poseł angielski z całem poselstwem siądzie na okręt." Jednocześnie dano rozkaz dwom eskadrom przygotować się do wojennej akcji. Jedna eskadra miała bombardować Lizbonę, druga — wybrzeża Mozambiku.

Kto sobie przypomni zatarg Anglji z Rosją o Afganistan i ówczesne postępowanie rządu Jej brytańskiej Mości, ten przyzna, że teraźniejsza energja brytańska wypływa jedynie z poczucia fizycznej wyższości nad Portugalją. Pobudka niewzbudzająca szacunku.

Cóż dalej? Rząd portugalski pochylił głowę przed koniecznością, zgodził się na żądanie Salisbury'ego i za to w tejże chwili upadł. W zasadzie więc stało się podług woli angielskiej, ale nie w praktyce, bo nowy rząd lizboński dotąd nic nie zrobił, i tak sprawa ta stoi do tej chwili. Dla Salisbury'ego utworzyła się sytuacja niezwykle przykra; niby zwyciężył, a jednak nie zwyciężył. Cała Europa przez wszystkie dzienniki potępiła ultimatum i metodę postępowania. Anglików to obraziło, lecz mówili: „To zazdrość przemawia." Ale oto większość mocarstw europejskich oświadczyła przez swych ambasadorów Salisbury'emu, że takie postępowanie jego naraża na szwank monarchję w Portugalji, a więc w ogóle monarchiczną zasadę. Więcej mocarstwa nie powiedziały nic, lecz — jak mówili nasi starzy — „mądrej głowie dość dwie słowie". To już nie zazdrość przemówiła. Wypadło z konieczności upuścić ser z dzioba. Więc — porażka, a ona wrogów dobywa choćby z pod ziemi. Powstała przeciw Salisbury'emu królowa, powstała arystokracja, powstali wigowie, którzy przedtem gardłowali, że torysi nie umieją wzbudzić za granicą należytego respektu dla angielskiej potęgi; powstał nawet ks. Walji, który nie zwykł zabierać głosu w kwestjach politycznych; słowem: jak pierwej cała Anglja domagała się krucjaty, tak teraz za wstęp do niej kamienuje Salisbury'ego.

Cóż mu w obec tego zostanie uczynić? Żeby był zdrów, możeby postąpił inaczej, ale szalona praca stargała jego siły, jest bardzo chory na rozdrażnienie nerwów. Więc, zdaje się, ucieknie. Ma willę pod Niceą. W niej chce się schronić. Królowa, jak co roku o tej porze, wybiera się do Włoch. Księciu Walji lekarze zalecili długi pobyt na południu, bo stan jego zdrowia budzi poważne obawy. Dawno już niedomagający, wycieńczony, a przeciążony obowiązkami reprezentanta tronu, bo wszystkie trudy zewnętrznego reprezentowania korony matka zdała nań, nie oddawszy mu nic ze swych przywilejów, — książe Walji nie rokuje długiego życia. W rodzinie królewskiej jest jakaś przepowiednia, mówiąca, że książe Walji nie przeżyje r. 1889. Anglicy, jako marynarze skłonni do zabobonów, wierzyli w tę wróżbę i jakże radośnie odetchnęli, gdy rok ten minął, a ulubiony książe pozostał między żyjącymi! Niemniej jednak krucho z nim, więc także wyjeżdża.

Tak Anglja zostanie bez dynastji i szefa rządu. Z tego wynika, że zatarg z Portugalją będzie puszczony w odwłokę, choć się p. Fergusson odgraża, że Anglja musi na swojem postawić.

Wynika dalej, że dobrze byłoby, aby przepadła sesja parlamentu. Więc dziś rzeczy tak stoją, że gabinet pochwali się przed izbami pomyślną polityką irlandzką i świetną finansową gospodarką ministra skarbu Goschena, a potem parlament rozwiąże i na lato rozpisze nowe wybory z prawdopodobieństwem sukcesu, bo Anglicy są realistami w polityce i chętnie wybaczają rządowi wiele błędów za dobrą gospodarkę finansową i zmniejszanie podatków.

A właśnie p. Goschen dokazuje cudów. Niedobór znikł, ogromne pieniądze znalazły się na odnowienie marynarki, na powiększenie uzbrojeń nadbrzeżnych, na ogromne wkłady w Irlandji. W ciągu tych trzech lat urzędowania zrobił Goschen niezmiernie wiele i teraz występuje z nadwyżką budżetową, wynoszącą 5 mil. funtów.

Co p. Goschen zaproponuje zrobić z temi pięciu miljonami? Odpowiedź na to łatwa. Ażeby zaspokoić wymagania klas zamożniejszych, skarżących się na *income tax*, minister ma przedstawić zmniejszenie tego podatku o penny. Będzie w ten sposób zużytkowany jeden miljon. Resztujące cztery albo nawet trzy, pozostając w szrankach pesymistycznej przezorności, mają być obrócone na ulżenie ciężarów masy ubogiej, wyrobniczej. Lord Salisbury, kreśląc swój program polityczny w Notinghamie, uprzedził już opinję, w jaki sposób gabinet ma zamiar wykonać tę demokratyczną reformę — przez zniesienie opłaty szkolnej.

7)

DZIDZIA.

Przez

ZOFJĘ KOWERSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

— To wszystko dobrze, — rzekł Michaś poważnie, — ale dlaczegóżeś nie jadł?

Ach, głupiec, głupiec ze mnie! wszystkom popsuł tym dziecinnym figlem! Już mi nawet mój brak apetytu za nic policzonym został. Ona tam walczy z chorobą, a ja w jej bramie płatam figle kolegom.

Wchodziłem na schody mojego mieszkania, jak starzec, wlokac nogi. O, ja byłem zupełnie inny, zupełnie przetworzony przez miłość!... Czy ja dawniej tak wchodziłem na schody? Przeskakiwałem je po dwa, po trzy... a teraz!... Ten figiel, ja go sobie tłómaczyłem... To był odruch automatyczny mojej wyobraźni. Żaba bez głowy ściera z grzbietu łapką... Ja tak samo. Miłość przeniknęła mię całego... głowę, serce, — wszystko jej oddałem, ale w jednej komórce mózgowej na własną rękę niezależnie od moich uczuć powstał projekt niemądrego żartu... Ta komórka mózgowa na mgnienie oka objęła władzę nad całym organizmem... To jest teorja, tłumacząca nagłe wybryki ludzi szanownych, po których niktby się nie spodziewał, że naprzykład, okradłszy kasę, uciekną do Ameryki...

Drżałem, jak liść, zadzwoniwszy do mieszkania państwa Pawężów. Widziałem już poważne usta lokaja, układające się do wymówienia: „panna Jadwiga chora". Rzuciłem mu błagalne spojrzenie, gdym go ujrzał, stojącego jak posąg, w otwartych drzwiach. Nie wyrzekł ani słowa. Zamknął za mną drzwi. Więc nie była chora? Więc ją zobaczę?...

Nieśmiało dążyłem ku gabinetowi pana; na moje spotkanie wyszła pani domu. Jej obecność związywała mię zawsze jakiemiś moralnemi powrozami, w których się szamotałem a pozbyć się ich nie mogłem.

— Moja córka chora — rzekła skinąwszy mi głową uprzejmie — ale nie chce darować lekcji dzisiejszej... Zachcianka chorego dziecka... Myślę, że jej mniej zaszkodzi małe natężenie uwagi, niż sprzeciwienie się jej żądaniu. Przeczytaj jej pan co łatwego... opowiedz jej pan co... coś wesołego... Niech jej się zdaje, że się uczy... Rozumiesz mię pan?

Czy ja ją rozumiałem? Przez moję głowę przemknęły tysiące wyrazów, w których chorej dziewicy, kochanek u jej nóg siedzący, słodko przygrywał na lirze... lub kołysał ją do marzeń, deklamując przyciszonym głosem to, co najpiękniejszego wymyśliła ludzka, poetyczna wyobraźnia... albo śpiewał jej piosnkę tęskną, rzewną... albo po prostu patrzał w jej oczy z wymową, w której zamykały się wszystkie wyznania, wszystkie nadzieje, wszystkie serca porywy, — cała namiętna, wzniosła a rozmarzona modlitwa duszy! Stanął mi w myśli Herkules przędzący... Samson, spuszczający z uśmiechem miłośnego omdlewania głowę pod nożyce Dalili... Co za roskosz być silnym, jak lew, a czuć się słabym, jak pajęczyna, w ręku wątłej kobiety!... I co za piękna rzecz — chora dziewica!... blada, chwiejąca się, z oczami, jakby w lepszy świat zapatrzonemi... szczególniej chora na suchoty. Jak słodko musi byś kochankowi dziewicę taką pielęgnować... nosić na ręku... studzić jej rozpalone dłonie, pieszcząc je w swoich rękach, pijąc z nich ustami żar gorączki, suchość ich zwilżając łzami... Odczuwać kaszel jej we własnych piersiach... śledzić postępy strasznej choroby na licu ukochanej... być wiernym towarzyszem jej nocy bezsennych... siostrą miłosierdzia przy jej łożu... osłodą chwil ostatnich... Zamknąć jej oczy, przyjąć ostatnie tchnienie, a potem codziennie na jej kurhanku składać świeże kwiaty!

Może Dzidzia miała suchoty? Właśniem sobie zadawał to pytanie, chodząc po gabinecie pana Pawęży, gdy usłyszałem powolne kroki, szelest sukien kobiecych... Weszła pani Pawężyna, prowadząc wspierającą się na jej ramieniu córkę.

Dzidzia była jeszcze bledszą, niż zwykle. Czułem to, gdyż spojrzeć na nią wyraźnie nie śmiałem. Przypomniałem sobie, że ja ją w moim sonecie po prostu „ty" nazywałem, i struchlałem.

— Prowadzę to moje biedactwo... to moje blade... to moje kochane... Połóż się tu na szezlongu. Ot tak! Czekaj, przyniosę szal do okrycia ci nóg.

Znalazłem się sam naprzeciw ułożonej przez matkę Dzidzi. Warkocze jej, opadające z szezlongu, leżały na ziemi, i mój spuszczony wzrok padał na te warkocze. W duszy (ale tylko w głębi duszy) ukląkłem, schyliłem twarz aż do ziemi, jak czynią czasem wierni w kościele, i ustami przypiłem się do końca jednego z jej warkoczy. Szczęśliwa dusza, że ona sobie na takie poufałości pozwalała! Ciało moje stało, jak gdyby je kto na kołek nadział. Nienawidziłem siebie w tej chwili.

— Niech pan siada, — rzekła słabym głosem Dzidzia.

Miała w tej chwili rzeczywiście głos, godny suchotnicy.

Usiadłem.

— Nie będę mogła pisać dzisiaj... ręka by mi się trzęsła. Pan będziesz czytał, a ja będę tłumaczyła.

Rzuciłem się na książkę, jak człowiek rzucający się na gałęź, ratującą go z toni. Przerzucałem stronnice, szukając w myśli słowa, którebym mógł wymówić w tej chwili. Takiego nie znalazłem w mej pamięci. Wyratowała mię pani Pawężyna, wchodząca z szalem w ręku.

Poczęła otulać nogi Dzidzi, uklękła, by to lepiej uczynić, a patrzała na córkę z miłością o sile... nie wiem już, ilu koni parowych. Dzidzia zarzuciła matce ręce na szyję, przytulała się do niej, głaskała po twarzy i (rzecz dziwna i śmieszna) poczęła do matki mówić pieszczotliwie, jak się mówi do maleńkich dzieci: „Moja matiula, moja ślićna... moja jedina!"

Mówiła szeptem namiętnym i tak się w objęciach matki tuliła, że mi się aż niedobrze robiło.

— Dosyć, Dzidziuś moja... dosyć! Pan się będzie śmiał z nas...

Pani Pawężyna odjęła opasujące szyję ręce i z uśmiechem zwróciła się do mnie:

— To takie było biedactwo, takie wątłe maleństwo, gdy przyszło na świat, żem to musiała rozpieścić.

— Wiesz pan, — rzekła Dzidzia, — przez trzy miesiące podobno leżałam w wacie, obłożona na wszystkie strony bańkami z gorącą wodą... Potem odjęli te przybory, ale byłabym umarła, gdyby mi zamiast waty i baniek nie byli dali pieszczot i pocałunków, i gdyby moje oczy nie patrzały ciągle na moją prześliczną, na moją cudowną, na moją najpiękniejszą, na moją anielską...

Pani Pawężyna zakryła jej usta ręką.

— I teraz tak samobym umarła, gdybym...

— Moje kochanie... w twoim wieku się nie umiera... nie mówże niedorzeczności... aż przykro słuchać. I czas tracicie; pan czeka i nudzi się...

Trzeba być matką albo osobą, zupełnie przez macierzyństwo z domyślności odartą, żeby podobne głupstwo powiedzieć! Ja miałbym się nudzić w obec Dzidzi? Ale matki, gdy je raz otoczą pieluchy, poduszki, śliniaczki, kaszki z mlekiem, powijaki, niańki, kołyski, — wszystkie te rzeczy, niewydające woni fiołków, matki, mówię, tracą zupełnie zmysł innych miłości. Zdaje im się, że jest na świecie, że światem rządzi tylko miłość macierzyńska. Tak się w niej zaślepią, że przypuszczają naprzykład, iż student drugiego kursu prawa, mający inteligentną, sympatyczną i oryginalną powierzchowność, może się nudzić w obec warkoczów dziewczyny, spadających z szezlonga aż na samą ziemią. Powtarzam, na to trzeba być matką!

Pani Pawężyna siedziała przez całą lekcję, którą starałem się uczynić jak najprzystępniejszą. Zapytywałem i sam sobie na zapytania odpowiadałem, czytałem trochę, tłómacząc na polskie. Godzina przeszła, jak mgnienie oka. W końcu zebrałem wszystkie siły i zapytałem:

— Czy nie zmęczyłem pani?

— Szkoda, że się godzina skończyła, — rzekła Dzidzia, — pan bardzo dobrze czytasz głośno, i ja już zaczynam rozumieć prawie wszystko

(C. d. n.)

Szkoła bezpłatna i obowiązkowa — oto marzenie Anglji, które ma urzeczywistnić nie kto inny, jeno gabinet torysów. Trzeba sobie to po kilka razy powtórzyć, ażeby uwierzyć, że się jest na jawie. Reforma ta stała długi czas w programie radykalnego stronnictwa; liberalne przyjęło ją po długiem wahaniu, zaś w czyn wprowadzić ją zamierza ministerjum zachowawczych torysów! Gdyby już nieraz oni nie byli wydarli swym współzawodnikom ich broni, możnaby było mówić o braku logiki. Ale jeżeli gdzie, to w Anglji nikt się o logikę nie troszczy. Idzie o dopięcie praktyczne tego, co duch czasu wymaga — reszta jest drugorzędnym względem.

Wykonywując program swego zwierzchnika, p. Goschen zniesie tedy opłatę szkolną. Dawała ona skarbowi dotąd 1,800,000 funtów; z nich 610,000 na utrzymanie szkół. zależnych od państwa, a 846,000 funtów na szkoły, zależne od kościoła, reszta na rozmaite szkoły prywatne. Minister skarbu chce przeznaczyć co najmniej dwa miljony funtów na ten cel; pozostanie mu jeszcze co najmniej miljon funtów na umorzenie długu. Można więc przyklasnąć całkowicie programatowi finansowemu i życzyć, ażeby urzeczywistniony został.

Ale nie wiadomo jeszcze, jaki obrót rzeczy wezmą. Stronnictwo liberalne, które dotąd domagało się bezpłatnej szkoły, nie bez żalu widzi, że ministerjum wyrywa mu taki wysoce popularny środek agitacyjny. Ponieważ opozycja nie będzie mogła sprzeciwiać się takiej reformie, zatem nie pozostaje jej, jak zaproponować środek jeszcze bardziej radykalny, przed którymby się rząd cofnął. Jest nim oddanie wszystkich szkół i szkółek w ręce państwa i wywłaszczenie szkół duchownych. Łatwo wyobrazić sobie, że kościół państwowy, zagrożony już na tylu punktach i tracący swój wpływ i znaczenie, uprze się przy zatrzymaniu szkół pod swem zawiadowaniem. Ponieważ arystokracja, torysi i wiele korporacyj są ściśle związani z kościołem i z duchowieństwem, zatem nie byłoby nic dziwnego, gdyby ze strony rządu zaniechano reformy, którąby się obróciła przeciwko jego najbliższym sprzymierzeńcom.

Z krajowej Rady szkolnej.

C. k. krajowa Rada szkolna odbyła dnia 13 b. m. posiedzenie, na którem załatwiono następujące sprawy:

Przyznano z funduszu przyzwolonego przez Sejm krajowy remuneracje dwudziestu siedmiu c. k. okręgowym inspektorom szkolnym, w uznaniu ich skutecznej działalności.

Przeniesiono ze względów służbowych, nauczycielkę ludowej szkoły żeńskiej w Wadowicach Teklę Gołąb do Oświęcimia, a nauczycielkę ludowej szkoły żeńskiej w Oświęcimiu Marję Pańczakiewiczównę do Wadowic.

Zatwierdzono uchwałę Rady gminnej w Bojanicach (powiat Sokal), według której język polski ma być językiem wykładowym w tamtejszej szkole ludowej.

Przekształcono etatową szkołę w Czerniowie (pow. Mościska) na 2-klasową.

Przyjęto do wiadomości zawiadomienie Wydziału krajowego o wyznaczeniu przez Sejm krajowy kwoty 2.000 zł. na wydawnictwo polskich podręczników dla szkół średnich, tudzież kwoty 2.000 zł. na wydawnictwo ruskich podręczników.

Poruczono naukę stenografji w II gimnazjum we Lwowie, profesorowi Włodzimierzowi Reslowi.

Przeniesiono suplenta szkoły realnej w Krakowie Witolda Barewicza, do gimnazjum w Rzeszowie.

Pozwolono Towarzystwu oświaty ludowej w Krakowie. na założenie tamże szkoły sług żeńskich.

Sprawozdanie

z posiedzenia Komisji krajowej dla spraw przemysłowych, odbytego dnia 26 b. m.

Obecni: Marszałek krajowy Jan hr. Tarnowski, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, prof. Jan Franke, radzca Kazimierz Laskowski, Michał Michalski, Edmund Mochnacki, Arnulf Nawratil, Tadeusz Romanowicz, Jan Rotter, Stanisław Szczepanowski, dr. Józef Wereszczyński, Ludwik Wierzbicki, prof. Juljan Zacharjewicz, Dr. Alfred Zgórski, Leon Zieleniewski i Franciszek Zima.

Przewodniczył po części JE. Marszałek krajowy, po części JE. hr. Dzieduszycki.

Pp. Władysław Fedorowicz i dr. Ferdynand Weigel usprawiedliwili nieobecność.

I. Przystąpiono przedewszystkiem do ukonstytuowania się komisji na nową sześcioletnią kadencję. Przewodniczącym jest na mocy statutu każdoczesny Marszałek krajowy; dwóch wiceprezesów wybiera komisja ze swojego grona. Wybrani zostali panowie: JE. Włodzimierz hr. Dzieduszycki pierwszym, książę Jerzy Czartoryski drugim wiceprezesem.

Według regulaminu podzieliła się Komisja na dwie sekcje fachowe, mianowicie: na sekcję dla przemysłu domowego i sekcję dla przemysłu rękodzielniczego.

Do sekcji dla przemysłu domowego wpisali się pp. hr. Dzieduszycki, Wierzbicki, Bolesław Baranowski, Leon Chrzanowski, Jerzy ks. Czartoryski, Władysław Fedorowicz, Kazimierz Laskowski, dr. Ferdynand Weigel i dr. Wereszczyński. Przewodniczącym tej sekcji wybrano Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, zastępcą jego p. Wierzbickiego.

Do sekcji dla przemysłu rękodzielniczego zgłosili się pp. Edmund Mochnacki, prof. Fanke, Arnulf Nawratil, Jan Rotter, Stanisław Szczepanowski. dr. Alfred Zgórski, Leon Zieleniewski i Franciszek Zima. Przewodniczącym tej sekcji obrano p. prezydenta Mochnackiego, jego zastępcą p. dyrektora Zimę.

Nastąpił potem wybór t. z. sekcji administracyjnej, która stanowi poniekąd organ wykonawczy Komisji.

Przewodniczącym sekcji administracyjnej jest każdorazowy szef tego departamentu Wydziału krajowego, w którym załatwiane bywają sprawy, dotyczące przemysłu, obecnie jest nim członek Wydziału kr. p. Romanowicz. W skład sekcji weszli: z grona członków sekcji dla przemysłu domowego pp. dyrektor Wierzbicki i radzca Laskowski; z grona sekcji rękodzielniczej pp. prof. Franke i poseł Michalski; z całej komisji pp. Nawratil i dr. Zgórski.

II. JE. hr. Dzieduszycki zdał sprawę z przedsięwziętych ze swej strony środków przygotowawczych do udziału Galicji w wystawie rolniczo-leśnej, która ma się odbyć w ciągu lata w Wiedniu, mianowicie co do sposobu przedstawienia na tej wystawie wyrobów przemysłu domowego włościańskiego. W dyskusji nad tym przedmiotem poruszono pytanie, czy i w jakiej mierze miałyby wziąć udział w tej wystawie nasze rękodzielnicze szkoły fachowe i warsztaty wzorowe, dla których zresztą Wydział krajowy już miejsce zapewnił.

Ponieważ sprawa ta wymaga przeprowadzenia rozmaitych układów i przygotowań, dla tego poruczyła komisja jej załatwienie sekcji administracyjnej, która ma działać w porozumieniu z hr. Włodz. Dzieduszyckim, jako głównym opiekunem i gospodarzem działu galicyjskiego na tej wystawie.

III. Z kolei referował p. inspektor Nawratil w imieniu sekcji administracyjnej o przekazanym komisji do zaopinjowania wniosku posła Stanisława Polanowskiego, co do subwencjonowania z krajowego funduszu przemysłowego fabryk mączki kartoflanej, tudzież o petycji hr. Stanisława Platera, który zażądał subwencji 3000 zł. z funduszu krajowego na taką fabrykę w dobrach swoich w Siebieczowie.

Zgodnie z wnioskiem referenta komisja uznała się niekompetentną do roztrząsania tego przedmiotu, jako należącego do zakresu przemysłu rolniczego.

IV. W dalszym ciągu obrad p. Wierzbicki, jako referent sekcji administracyjnej, zdał sprawę o podaniu patrona „Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych“ z wnioskiem o zwołanie przedstawicieli krajowego przemysłu tkackiego na naradę fachową o rozmaitych potrzebach tego przemysłu. Przychylając się do projektu, poruszonego przez „Związek“, postanowiła komisja przyprowadzić do skutku taką konferencję fachową dla spraw tkackich. Do udziału w tej konferencji mają być zaproszeni pp. Tadeusz Fedorowicz z Klebanówki, poseł August Gorayski, Henryk Gruszecki kierownik szkoły tkackiej w Krośnie, ks. Filemon Reszetyłowicz dyrektor spółki tkackiej w Glinianach, poseł Stanisław Szczepanowski, dyrektor Kasy oszczędności Zima i poseł Bolesław Żardecki jako dyrektor spółki tkackiej w Łańcucie, nadto p. Wiktor Drzymuchowski, były stypendysta Wydziału krajowego, obecnie zatrudniony w fabryce żyrardowskiej, jeżeli będzie w Galicji wówczas, gdy zbierze się owa konferencja. Wszystkie towarzystwa tkackie, istniejące w kraju, będą również zaproszone, ażeby wysłały na konferencję delegatów, jeżeli uznają to za stosowne.

V. Następnie przedłożył p. Wierzbicki sprawozdanie sekcji adm. o wniesionej do Sejmu petycji gminy Krosna o zasiłek z funduszu krajowego na budowę gmachu dla fachowej szkoły tkackiej. Budowę tę, krórej koszt obliczony jest na 35.000 zł., zamierza gmina według planów architekty p. Ramułta rozpocząć z wiosną b. r. Ponieważ sprawa ta w tegorocznym budżecie krajowym nie jest przewidzianą, przeto uchwaliła komisja przedłożyć Wydziałowi krajowemu wniosek, aby z funduszów, jakie ma w tym roku do rozporządzenia na bezzwrotne zasiłki na cele przemysłowe, udzielił gminie Krosna 1000 zł. subwencji na tę budowę i przyrzekł wyjednanie u Sejmu dalszej subwencji 5000 zł. Przytem uchwalono udać się z prośbą do Wydziału krajowego, ażeby starał się wyjednać u rządu subwencję ze skarbu państwa na budowę szkoły tkackiej w Krośnie.

VI. Z kolei referował prof. Franke również w imieniu komisji adm. o podaniu magistratu lwowskiego, wniesionem do Wydziału krajowego, z prośbą o wstawienie się u centralnych władz rządowych w sprawie projektowanej państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie. Mianowicie od r. 1885, odkąd prowadzi gmina Lwów rokowania w tej sprawie z rządem, skoro tylko gmina, stosując się do wymagań ministerjalnych przyjmie dyktowane ze strony rządu warunki, występuje ministerstwo oświaty z coraz nowemi żądaniami, stopniując je *in plus*, a równocześnie bardzo znacznie zmniejsza ilość kursów fachowych, proponowanych w przyszłej szkole.

Niezwykłe to postępowanie ministerstwa, które wywołało w komisji wrażenie, iż ministerstwo dla tej sprawy jest nieprzychylnem, obudziło żywą dyskusję w komisji, a wynikiem tej rozprawy jest uchwała, którą postanowiono jak najgoręciej poprzeć u Wydziału krajowego sprawę projektowanej szkoły przemysłowej we Lwowie, a to w tym kierunku, ażeby Wydział krajowy przedstawił ministerstwu krzywdę i szkody wyrządzonej tak gminie lwowskiej jak i interesom kraju z powodu trudności stawianych przez rząd wprowadzeniu w życie państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie.

VII. Dr. Zgórski i p. Romanowicz przedstawili następnie podania o pożyczki z krajowego funduszu przemysłowego na rozmaite przedsiębiorstwa przemysłowe. Załatwiono szereg takich podań i z tych kilka uwzględniono. Przyznane pożyczki wynoszą łączną kwotę 16.000 zł.

VIII. Prof. Zacharjewicz zdał sprawę o stosunkach krajowej szkoły garncarskiej w Kołomyi, którą zwiedziła komisja złożona z pp. Romanowicza, Frankego i Zacharjewicza, referenta spraw dotyczących keramiki.

Po wysłuchaniu sprawozdawcy i przeprowadzeniu rozprawy uchwalono nie żądać na razie ani zmiany statutu, ani też zmiany kierownictwa tej szkoły, ale polecono sekcji administracyjnej, ażeby zajęła się zmianą planu nauki, zbliżającą do praktycznej nauki we wzorowych warsztatach (na wzór szkoły w Porembie), nadto ażeby wydano ściśle normy co do prowadzenia ksiąg i całej administracji zakładu.

W celu przysposobienia fachowych instruktorów dla pewnych działów nauki, postanowiono wysłać dwóch przodowników z kołomyjskiej szkoły: Skrypnijczuka i Seilera na kilkumiesięczną praktykę do krajowej keramicznej stacji doświadczalnej w szkole politechnicznej we Lwowie. Ponieważ budynek, w którym mieści się szkoła garncarska w Kołomyi nie odpowiada celowi, przeto postanowiono wezwać gminę tamtejszą do rozszerzenia owego budynku.

IX. P. Fryderyk Lachner, należący do etatu nauczyli gimnazjum w Wadowicach, objął prowizorycznie kierownictwo warsztatu wzorowego garncarskiego w Porembie w pow. chrzanowskim za urlopem jednorocznym. Gdy jednak teraz władze szkolne odmówiły mu przedłużenia urlopu, który kończy się z dniem 1 lutego b. r. przeto komisja ustąpienie p. Lachnera przyjęła do wiadomości z zastrzeżeniem użycia go w przyszłości w sposób odpowiadający jego uzdolnieniu, a na jego miejsce uchwaliła przedstawić Wydziałowi krajowemu na prowizorycznego kierownika warsztatu wzorowego garncarskiego w Porembie p. Antoniego Goligowskiego z płacą 60 zł. miesięcznie i wolnem mieszkaniem.

X. P. Szczepanowski referował o petycji gminy miasteczka Peczeniżyna w powiecie kołomyjskim o założenie tam fachowej szkoły dla wyrobów z drzewa, tudzież o petycji „Spółki huculskiej w Kołomyi“ o pożyczkę lub zasiłek. — Zgodnie z wnioskami sprawozdawcy uznano miasteczko Peczeniżyn za miejsce nieodpowiednie do założenia szkoły fachowej dla przemysłu drzewnego. Następnie postanowiono subwencjonować „Spółkę huculską,“ która zajmuje się kształceniem utalentowanych rzeźbiarzy huculskich, rozpowszechnia pomiędzy ludem tamtejszym poprawne narzędzia i przybory rękodzielnicze, spienięża wyroby huculskie itd. Przywiezione przez p. Szczepanowskiego na posiedzenie komisji wyroby tkackie, paciorkowe, mosiężne i rzeźbiarskie, a wreszcie różne wyszywanki, roboty włościan czarnohorskich ze sklepu „Spółki huculskiej“ zjednały sobie wielkie pochwały, takich znawców podobnych przedmiotów, jak hr. Włodz. Dzieduszycki, Wierzbicki i t. d.

XI. Przyjęto do wiadomości na podstawie referatu p. Romanowicza, że na wniosek sekcji administracyjnej udzielił Wydział krajowy stypendja z rozmaitych okolic kraju pochodzącym 24 chłopakom na naukę w państwowej szkole dla przemysłu drzewnego w Zakopanem na rok 1890 w łącznej kwocie 1740 zł. dla wszystkich.“

W ten sam sposób załatwionem zostało udzielenie stypendjum p. Kazimierzowi Miziewiczowi ze Lwowa po 35 zł. miesięcznie na odbycie kursu fachowego w rządowym zakładzie dla fotografji i reprodukcji rysunków w Wiedniu.

Janowi Golińskiemu z Mokryszowa w pow. Tarnobrzeskim przyznano zasiłek po 6 zł. miesięcznie na naukę stolarstwa i rzeźbiarstwa w Zakopanem; tamtejsza Rada powiatowa zapewniła mu również po 6 zł. miesięcznie z funduszów powiatu.

Na przedstawienie kierownika c. k. zawodowej szkoły slusarskiej w Świątnikach przyznano czterem uczniom tegoż zakładu następujące zasiłki:

Stanisławowi Kwintowskiemu po 8 zł. miesięcznie, Andrzejowi Goreckiemu po 4 zł., Józefowi Cholewie po 3 zł. i Rudolfowi Bobrowskiemu po 3 zł. na r. 1890.

Uczennice państwowej szkoły dla przemysłu artystycznego we Lwowie Józefa Angerówna otrzymała zasiłek jednorazowy w kwocie 100 zł., Olga Szydłowska 40 zł., Felicja Zahorska również 40 zł.

Dezydery Denk otrzymał przyrzeczenie zasiłku w kwocie 30 zł. miesięcznie od 1 września 1890 na naukę w państwowej szkole budowy machin i slusarstwa w Komotau w Czechach.

Ośmiu uczniom szkoły koronkarskiej, w Muszynie przyrzeczono zasiłki po 25 zł. jednorazowo; kandydatki ma przedstawić zarząd szkoły.

Jednemu z uczniów szkoły ludowej w Trzemesni w pow. Tarnowskim, którego przedstawi tamtejsze Kółko rolnicze, przyrzeczono zasiłek równający się połowie kosztów utrzymania w szkole koszykarskiej w Jarosławiu.

XII. Ponieważ Namiestnictwo wydało pewne zarządzenia co do stosunków szkół przemysłowych uzupełniających w Drohobyczu i Jarosławiu, bez odniesienia się do komisji, przeto uchwaliła komisja zastrzedz się przeciwko takiemu pomijaniu jej w sprawach, które należą do komisji krajowej dla spraw przemysłowych.

Pogotowie pożarne.

W kraju, jak nasz, zabudowanym przeważnie drzewem i słomą i bez przestrzegania jakichkolwiek warunków bezpieczeństwa ogniowego, sprawa zaopatrzenia gmin wiejskich lub małomiasteczkowych w narzędzia pożarnicze i zorganizowania służby ogniowej urasta do znaczenia pierwszorzędnej kwestji ekonomicznej.

Pożary nawiedzające kolejno nasze miasteczka i sioła i wyrządzające corocznie miljonowe szkody najuboższym warstwom społeczeństwa, wywołały wreszcie w całym kraju poczucie, iż należy się nam wedle sił bronić przeciw tym klęskom.

Pod wpływem działania władz autonomicznych i przy życzliwej, a w miarę środków szczodrej pomocy krajowego towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń poczęły z razu gminy miejskie, następnie małomiejskie, zaopatrywać się w przyrządy pożarnicze.

Równolegle i równocześnie z tą akcją szła działalność utworzonego we Lwowie Związku ochotniczych straży pożarnych. W miarę własnego rozwoju rozszerzał on swoję działalność na coraz większą liczbę miast i miasteczek, stwarzał w nich ochotnicze korpusy pożarne, czuwał nad fachowem wykształceniem tych pierwszych zawiązków służby pożarnej na prowincji, a rozsyłając po kraju zdolnych instruktorów, dając praktyczne wskazówki o właściwem używaniu narzędzi ogniowych i rozpowszechniając wypróbowane praktyką regulamina i specjalne instrukcje, sprawił wreszcie to, iż obecnie nie ma w Galicji prawie ani jednego dużego miasteczka bez ochotniczej straży pożarnej, a nie jedna z tych pożarnych placówek przebyła już próbę ogniową z znakomitym skutkiem.

Po zorganizowaniu straży pożarnych po miastach i miasteczkach przyszła obecnie kolej na wioski, aby tam, gdzie nieprzezorność ludzka i niedołęztwo miejscowych władz nagromadziły najwięcej warunków niebezpieczeństwa, wprowadzić w wykonanie takie zarządzenia, któreby potrafiły uchylić dotychczasowe klęski lub przynajmniej umniejszyć ich rozmiary.

Chodziło tu przedewszystkiem o to, aby przełamawszy w naszym ludzie zrosłą z nim apatję w obec klęsk elementarnych, ułatwić ubogim przeważnie gminom wiejskim nabywanie narzędzi do gaszenia ognia a następnie zorganizować w łonie każdej gminy pogotowie pożarne.

W zaopatrzeniu gmin wiejskich w przyrządy pożarnicze zrobiono już początek — a dobry skutek, z jakim przeprowadzono tę czynność w powiecie sokalskim winien posłużyć innym reprezentacjom powiatowym jako przykład i ku zachęcie, że przy dobrej woli i właściwem traktowaniu tej sprawy, zaopatrzenie wszystkich gmin wiejskich w najniezbędniejsze narzędzia pożarnicze nie jest rzeczą niepodobną do wykonania. Przypatrzmy się, jak sobie w tej sprawie postąpił Wydział powiatowy sokalski. Oto skłoniwszy najpierw gminy tamecznego powiatu, aby każda z nich sprawiła dla siebie beczkowóz, zaciągnął on następnie za poręką powiatu i zezwoleniem Wydziału krajowego pożyczkę 15.000 zł. do spłaty w 5 rocznych ratach z 5 prc. oprocentowaniem. i za tę kwotę (faktycznie wydano tylko 13.468 zł.) zakupił w fabrykach krajowych 94 sikawek po przeciętnej cenie 145 zł. Sikawki te oddano 59 gminom i rozłożono koszta ich zakupna w ten sposób, że doliczając oprocentowanie pożyczki przez powiat zagwarantowanej za każdą sikawkę spłaci gmina po 33 zł. 35 ct. przez 5 lat z rzędu, kwotę 167 zł. 25 ct., lub spłacając ją w 4 rocznych ratach po 41 zł. 15 ct. zapłaci kwotę 164 zł. 60 ct. Raty na spłatę należytości za sprawione sikawki wstawiają do swych budżetów prawie wszystkie gminy powiatu, a w nielicznych wypadkach, gdzie rada gminna nie uchwaliła tej pozycji wydatku, wstawił ją z urzędu Wydział powiatowy na podstawie § 70 ustępu 5 ustawy gminnej, przeciw czemu wnoszone odwołania się zwierzchności gminnych do władz wyższych nie zostały przez nie uwzględnione.

Po sprawieniu sikawek i beczkowozów przystąpił Wydział powiatowy do opublikowania patentu pożarnego, dopilnował przez swoich funkcjonarjuszów, aby każda chata została zaopatrzona w haki i konewki, a ukończywszy tę czynność, rozpoczął zorganizowanie pogotowi pożarnych w każdej gminie.

Wydano więc najpierw dokładną instrukcję o obowiązkach pogotowia pożarnego w każdej gminie, podzielono je na oddziały: ratunkowy, sikawkowy i wodny, wyjaśniono sposoby gaszenia pożaru i udział w tej pracy każdego oddziału i oznaczono kary, którym podpadną osoby niejawiące się przy pożarze lub niedbale dopomagające w gaszeniu.

Z tą instrukcją w ręku wysłał Wydział powiatowy swoich funkcjonarjuszy do wszystkich gmin powiatu, uformował w każdej pogotowie pod osobistem kierownictwem wójtów, a zaciągniętych do pogotowia ludzi przydzielił do właściwych oddziałów.

Owóż do pierwszego, zwanego ratunkowym, weszli ludzie młodzi, zręczni i odważni, a służba ich polega na wywożeniu sprzętów z płonących lub zagrożonych ogniem budynków, ratowania ludzi lub zwierząt domowych, obsadzania lub zrywania sąsiednich dachów. Członkowie tego oddziału przybywają na miejsce pożaru z siekierami, hakami i drabinami.

Drugi oddział, sikawkowy, składa się z poważniejszych gospodarzy i przeznaczony jest do najszybszej dostawy i obsługi sikawki. Ludzie tego oddziału kierują dostarczaniem wody do sikawek, więc pod ich komendę wchodzi trzeci oddział pogotowia — wodny, który przybywa na miejsce pożaru z beczkowozami, konwiami i łopatami, dostarcza wodę, a po ugaszeniu ognia oczyszcza i wygasza doszczętnie pogorzelisko.

Stworzenie i właściwe zorganizowanie pogotowi pożarnych było ostatnim aktem czynności Wydziału powiatowego, a dwuletnia już praktyka wykazała, że organizacja ta, rozporządzając odpowiedniemi przyrządami i ludźmi należycie świadomymi swoich obowiązków, baczenie kontrolowana przez rządowe i autonomiczne władze powiatu oddała niejednokrotnie znakomite posługi gminom, przytłumiła nie jeden pożar w samym zarodku, zlokalizowała wiele z nich na bardzo mierne rozmiary, rozbudziła u ludu czujność i staranność w przestrzeganiu przepisów policji ogniowej, a co najważniejsza, iż namacalnie przekonała włościan o skuteczności doraźnie i fachowo zorganizowanego ratunku.

Wobec tych pięknych i naśladowania godnych rezultatów wystąpił „Krajowy Związek ochotniczych straży pożarnych“ z projektem zaprowadzenia pogotowi pożarnych we wszystkich tych wioskach i małych miasteczkach, w których nie istnieją jeszcze straże pożarne.

W tej sprawie odezwał się on do wszystkich w kraju Wydziałów powiatowych, a powołując się na przykład powiatu sokalskiego wezwał je, aby zaopatrzyły podległe sobie gminy w przyrządy pożarnicze i przymusowo na wzór owego powiatu zorganizowały w każdej gminie pogotowia pożarne. Ze swojej strony ofiarował *Związek* swoje usługi we wszystkich kwestjach fachowych. Ofiarował się przeto dostarczać Wydziałom powiatowym wskazówek co do najodpowiedniejszych systemów sikawek i źródeł najtańszego ich nabycia, dawać pouczenia o najpraktyczniejszych sposobach gaszenia ognia — a nawet ofiarował się wysyłać fachowych instruktorów lub całe oddziały strażackie, aby praktycznie zaznajomić świeżo zorganizowane pogotowia z używaniem przyrządów pożarnych i ze służbą pożarową.

W obec tego patrjotycznego wystąpienia „Krajowego związku ochotniczych straży pożarnych“ i przykładu danego krajowi przez reprezentację powiatu sokalskiego, nie wypada nawet wątpić o tem, iż niebawem pójdą za tym pięknym przykładem wszystkie powiaty naszego kraju, że zaopatrzą swe wsie i miasteczka w najniezbędniejsze przyrządy pożarnicze, wprowadzą w życie martwe dotąd przepisy policji ogniowej i korzystając z chętnej i skutecznej pomocy Związku zorganizują pogotowia ku obronie przed pożarami swych wsi i miasteczek.

„*Exempla trahunt*“ mówi stare Rzymian przysłowie, niechże ono sprawdzi się i w tej sprawie i niechaj ratuje nasz biedny kraj od tych klęsk pożarowych, które go nawiedzają tak często i wyrządzają tak dotkliwe straty w naszym chudopacholskim dobytku.

Mały Fejleton.

Ucieczka przed influencą.

Siedziałem w kawiarni i czytałem gazetę. Naraz wydałem okrzyk radości i upuściłem gazetę z ręki, a wiecie dla czego? Bo wyczytałem najwyraźniej w świecie, że na los czerwonego krzyża, będący moją i mojej teściowej własnością padła wygrana 1000 zł. Słaby to, słaby był ten uśmiech fortuny, a jednak zrobiło mi się w duszy bardzo słodko. Zapłaciłem czemprędzej za kawę i wybiegłem z kawiarni, aby co rychlej zawiadomić mą żonę o tym radośnym wypadku. Przedtem poświęciłem jeszcze fortunce jedne łezkę wdzięczności.

Skorom wpadł do pokoju, zastałem siedzącą na sofie damę, stokroć piękniejszą, aniżeli stokrótka na łące. To była moja żona, pani Piórkiewiczowa.

„Marjo — zawołałem — proszę cię, tylko się nie bój“.

Ona się zlękła okropnie.

„Marjo, upamiętaj się, nasz los czerwonego krzyża wygrał“.

A ile? — spytała głosem drżącym.

Tysiąc reńskich.

Bogu dzięki, że nie główną wygranę — rzekła z westchnieniem.

Jak? co ty mówisz? zapytałem zdumiony.

Tak, mój Geniu, bo wiesz, gdyby to była główna wygrana, to ja umarłabym z radości.

Moja teściowa, którą tytułowaliśmy babcią, do którego to tytułu miała zresztą prawo ze względu na stosunek pokrewieństwa, ja i ją łączył z synem moim, panem Eugenjuszem Piórkiewiczem (juniorem), przyjęła wiadomość o wygranej całkiem spokojnie. Nie powiedziała nic, jak tylko to, że dobrzeby było użyć tych pieniędzy należycie i należałoby w tej mierze zasięgnąć zdania pana domu (tj. mojego). Odpowiedziałem na to apelacją do jej serca jako babki i oświadczyłem, że jeżeli ona skłonnąby była darować swoich pięćset reńskich mojemu synowi, to ja dałbym moich pięćset reńskich jej wnukowi.

Babcia odpowiedziała, iż podoba jej się we mnie to, że nie lubię obwijać rzeczy w bawełnę, lecz stanowczo propozycji mej nie przyjęła.

Propozycja Genia jest dobrą — rzekła moja kochana żona. Słyszałam, że jeżeli się nawet znacznie mniejszą sumę przez długie lata pozostawi nienaruszoną i pozwoli się jej procentować, to ona w końcu urośnie do niesłychanej wysokości. Jakby to pięknie było, gdybyśmy tych tysiąc reńskich ulokowali gdzie w banku, bodaj na 3 procent i przez dwadzieścia lat ich nie ruszali. Nasz mały Genio miałby wówczas dwadzieścia pięć lat i byłby niesłychanie bogatym.

Obliczno mój złoty — rzekła zwracając się do mnie — ile to będzie po dwudziestu latach.

Wziąłem się do rachowania i rachowałem z zapałem człowieka, który dobro dziecka swego ma na oku. Obliczyłem i rzekłem: Dwa tysiące pięćset dwadzieścia siedm złotych i pięćdziesiąt centów.

Tylko tyle? — rzekła rozczarowana Marja — ja myślałam, że to będzie daleko więcej.

Oboje jesteście ludzie niepraktyczni — ozwała się babka. Przypuściwszy nawet, że odstąpiłabym moję połowę na rzecz waszego synka, to cóżbyście poczęli z tą mizerną wygraną. Śmieszni jesteście z waszym obliczaniem procentów, bo tysiąc reńskich jest zawsze tylko tysiąc reńskich. Ja jestem innego zdania i jeżeli pomyślę w jaki sposób przyszliśmy do tych pieniędzy, to wydają mi się one być widoczną wskazówką nieba. To też stawiam z mej strony następujący wniosek: Mamy tu we Lwowie tę nieznośną epidemię, tę influencę, użyjmy więc tych pieniędzy na małą wycieczkę do południowego klimatu. Pomyślcie sami, moje dzieci, coby to była za okropność, gdyby nasz kochany mały Genio dostał influency. A dostać jej musi, jeżeli zostaniemy we Lwowie, bo choroba ta grasuje strasznie, zwłaszcza między dziećmi.

Ależ mamo — zaśmiała się Marynia — z powodu tej głupiej influencji mamy jechać do ciepłych krajów? Czy ty to mówisz na serjo?

A dlaczego by nie? — odrzekła matka — ty się dziwisz temu?

Meran jest prześliczna miejscowość, zauważyłem z ironicznym uśmiechem.

Żartuj sobie zdrów, panie zięciu, odemnie odbiją się wszystkie twoje drwinki. Ale ja wam mówię, że strzeżonego pan Bóg strzeże.

Począwszy od tej chwili miałem wielką biedę w domu. Żona moja o niczem ze mną nie rozmawiała jak tylko o influency, a teściowa, która ma zwyczaj czytania gazet głośno, czytała je zawsze w mojej obecności, a co czytała, to wszystko było o influency.

Czterdzieści ośm godzin mogłem to wytrzymać, lecz w końcu ugiąłem się.

— Maryniu — rzekłem słodko do żony — wiesz, że jestem dobrym ojcem. Influenca przybiera coraz groźniejszy charakter, ty musisz z naszym malcem wyjechać ze Lwowa, a mam nadzieję, że babcia zrobi mi tę przyjemność i pojedzie z tobą.

Żona moja westchnęła siedmnaście razy i wyszeptała:

— Geniu — wiesz, że pragnę zawsze być z tobą w zgodzie, lecz w tym wypadku nie posłucham cię, nawet gdybyśmy się mieli pokłócić. Ja ciebie nie opuszczę pod żadnym warunkiem.

I to powiedziawszy, wyszła z pokoju.

Łamałem sobie głowę nad tem, jakby tu wyjść z tego położenia, a sny miałem tak okropne, jak nieprzymierzając Ryszard III.

W rozpaczy zwierzyłem się z memi cierpieniami pewnemu mędrcowi, a ten mi dał taką radę:

— Rzecz bardzo łatwa. Postaraj się w biurze, ażebyś twój urlop coroczny teraz dostał. Nigdzie przecież nie stoi napisano, iż na urlop dopiero w lecie można jechać.

Posłuchałem go i nazajutrz przyniosłem mojej żonie pismo następującej treści: „Na prośbę pana Eugenjusza Piórkiewicza udziela się mu urlop na czas od 3 stycznia do 3 lutego 1890 r. Dyrekcja“.

Nie można sobie wyobrazić większego szczęścia nad to, które zabłysło w oczach mojej żony, gdy przeczytała tę uchwałę. Rzuciła mi się na szyję i rzekła: „Mój kochany Geniu, wiesz, że to genjalna myśl“. Teściowa niemniej była uradowana, nie nazywała już mnie panem zięciem, lecz kochanym Geniem i natychmiast wręczyła swoich pięćset złotych na cele podróży.

Zdecydowaliśmy się na Meran. W Baedekerze wyszukałem nazwisko hotelu jakiegoś w Meranie, telegraficznie zamówiłem w nim pomieszkanie i wysłałem naprzód pakunki. Do wagonu wzięliśmy ze sobą tylko cztery gutaperchowe poduszki i trzy torby ręczne, napakowane zimnemi potrawami i pokrzepiającemi napojami.

Podczas podróży nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Przez całą noc spaliśmy koncertowo a przez cały dzień następny jedliśmy zabrane z domu prowianty. I tak naprzemian to jedząc, to spiąc, dojechaliśmy do Meranu.

W hotelu przyjęto nas bardzo uprzejmie i wskazano nam nasze pokoje. Zaledwieśmy się w nich zainstalowali, zaczął pan Eugenjusz Piórkiewicz junior przeraźliwie płakać. Moja kochana Marynia zaniosła swego nieszczęśliwego syna do łóżka i oświadczyła mi potem, że wraz z matką zostanie w pokoju, bo jej się ubierać nie chce. Poszedłem więc sam do restauracji. Table d'hôte już się skończyło, musiałem więc jeść à la carte. Gdym tak siedział przy stole, zbliżył się do mnie właściciel hotelu i spytał grzecznie, czy nie mam nic przeciwko temu, aby towarzystwo w tym hotelu mieszkające, potańczyło sobie trochę. Odpowiedziałem, że mi to wielką przyjemność zrobi. Sala napełniła się wnet gośćmi, jakiś jegomość w czarnym surducie usiadł do fortepianu i zagrał walca.

Rozpoczęły się tany, a ja kończyłem moję kolację. Młody człowiek jakiś, wywijający niemiłosiernie swą tancerką na prawo i na lewo, upatrzył sobie coś do mnie, bo ustawicznie kręcił się koło mego stołu i po nogach mi deptał, a że to był rosły mężczyzna i miał buty o podwójnych podeszwach, przeto uczułem zaraz za pierwszym razem, że to nie kanarek po moich nogach drepcze. Zostawiłem resztki befsztyka na stole, wstałem i oparłem się o słup, lecz młody człowiek i tam mnie znalazł i na nogę mi nadeptał. Wreszcie i tańce się skończyły i ja spać poszedłem.

Byliśmy w jednym z pierwszych hotelów w Meranie. Właściciel oświadczył, że da nam wszystko po najtańszej cenie i za cały wikt wraz mieszkaniem weźmie od nas po dwanaście reńskich dziennie. Ucieszyliśmy się, bo to było rzeczywiście nie bardzo drogo. — Nazajutrz przypatrzyliśmy się wschodowi słońca, które tutaj dopiero o godzinie wpół do jedenastej z poza gór wychodzi, a potem usiedliśmy na ławeczce kamiennej i wygrzewaliśmy się na słońcu.

Obok nas siedział na drugiej ławeczce ten sam młody człowiek, który wczoraj po nogach mi deptał i śpiewał jakąś piosenkę miłosną.

Poszliśmy na śniadanie. Po mojej lewej stronie siedziała jakaś młoda brzydka Francuzka, z starym mężem, który skarżył się ustawicznie, że cierpi na żołądek, a podane mu potrawy pochłaniał z żarłocznością rekina. Obok mojej Maryni

usadowił się jakiś gadatliwy malarz. Przedstawił się zaraz mojej żonie, a gdy podczas śniadania podał jej raz półmisek z kompotem, to zrobił minę tak słodką, jak gdyby połknął beczkę syrupu. Zrobiłem z tego powodu potem mojej żonie uwagę, a ona nazwała mnie Otellem, to też wieczorem przy obiedzie posadziłem ją koło Francuzicy a sam usiadłem koło malarza. Objad nie zadowolnił nas wcale. Z jedzeniem trzeba się było niesłychanie śpieszyć, bo kelnerzy sprzątali zaraz ze stołu, a towarzystwo objadowe składało się przeważnie z Anglików i Angielek.

Po obiedzie poszliśmy do siebie na górę, a około godziny dziewiątej wieczorem dostaliśmy takiego apetytu, że musieliśmy wypić po kilka filiżanek herbaty i zjeść mnóstwo mięszaniny. Podczas tej przekąski zwróciła żona moja uwagę na ogłoszenie jakieś, przybite na ścianie. Na ogłoszeniu tem napisane było, że opał, światło, napoje, tudzież wszelkie inne przekąski z wyjątkiem śniadania i objadu nie są wliczone w cenę pensji. Zirytowało mnie to trochę, to też nazajutrz rano zeszedłszy do restauracji i wypowiedziałem gospodarzowi głośno moje niezadowolnienie. W ciągu mojej rozmowy z gospodarzem wpadła pokojówka i powiedziała, że pani prosi, abym w tej chwili przyszedł na górę. Pobiegłem co tchu i zastałem mamę leżącą w łóżku, a Marynię siedzącą przy niej.

— Mama słaba — rzekła Marynia, — ma silną gorączkę, musisz zaraz posłać po doktora.

Posłałem natychmiast po niego. Doktor zbadał puls mamy i powiedział:

— Influenca — leżeć kilka dni spokojnie w łóżku, mało jeść, dużo spać, antipyrina, i t. d.

Zdrętwiałem, a moja żona wyszeptała cicho:

— Co komu Pan Bóg przeznaczył, tego uniknąć nie można, — i powiedziawszy to podała chustkę babci, która okropnie kichać zaczęła.

Po południu zachorowałem i ja i położyłem się do łóżka. Bolało mnie wszystko, piersi, głowa, wątroba, śledziona, nogi, myślałem, że umrę i chciałem już pisać testament. Żona moja pielęgnowała swoich pacjentów z taką troskliwością, że jeżeli jest jaka sprawiedliwość na świecie, to powinni ją zamianować prezydentką honorową wszystkich stowarzyszeń czerwonego i białego krzyża.

Nie umarłem, lecz wstałem po kilku dniach, ale taki chudy, że bez paltota nawet żadnego nie rzucałem. Było to siódmego dnia po naszym przybyciu do Meranu, babcia tego samego dnia wstała. Rozmawialiśmy właśnie wesoło o naszej ucieczce przed influencą, która przecież nas schwytała, gdy w tem drzwi się otworzyły i wszedł pokojowy z rachunkiem tygodniowym. Rachunek ten zawierał jedną po drugiej następujące pozycje: — Logement, Pension, Eclairage, Service, Dejeuner, Dejeuner à la fourchette, Diner à la carte, diner à part, diner à table d'hôte, Kaffe, Thee, Wein, Liquere, Mineralwasser, Bier, Souper, Curtaxe, Dienerschaft, Bäder, Heizung, Wagen.

Już na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że żadna rubryka próżną nie była, za wody mineralne policzono mi 12 zł. 50 ct., a za kąpiele 1 zł. 20 ct., a w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogłem, kiedy piłem wodę mineralną i kiedy się kąpałem.

Poszedłem do gospodarza spytać się, czy tu nie zaszła jaka pomyłka, a ten otworzył olbrzymią swą księgę główną, na której na stronicy 42 wypisane było „Wielmożny Pan Eugenjusz Piorkiewitz ze Lwowa z rodziną" — spojrzał do tej księgi i rzekł: — „Wszystko w porządku 12·50 i 1·20".

Kiedy w porządku, to cóż miałem na to powiedzieć, musiałem chyba przypuszczać, że w gorączce mej influencyjnej wykąpałem się w wannie napełnionej Giesshüblerem.

Rachunek wynosił 161 zł. 65 ct. Popatrzyłem na Marynię, Marynia popatrzyła na mnie, a potem oboje razem popatrzyliśmy na babcię, która [illegible] okulary i gorliwie studjowała rachunek hotelowy.

— Naturalnie, musisz zapłacić ten rachunek, kochany Geniu — powiedziała mi żona — bo przecież nie możemy się skompromitować.

— Noblesse oblige — zawołała babcia — Marynia ma słuszność. Wpadliśmy do hotelu, który nie odpowiada naszym stosunkom, to też trzeba rachunek przyzwoicie zapłacić i wyprowadzić się do jakiegoś tańszego hotelu.

— Ale jak tu wytrzymać jeszcze trzy tygodnie — rzekłem w rozpaczy. Sto sześćdziesiąt jeden razy cztery, to robi...

— Ach, proszę ciebie, zostaw te rachunki — przerwała mi moja żona. Kochany Geniu, zrobiłam rzeczywiście wielką ofiarę, żem się ugięła przed twoją wolą i całe gospodarstwo na opatrzność boską zostawiła. Przecież cały [illegible] jak tu jesteśmy [illegible], że zostawiłam we Lwowie moją nową suknię, wiszącą na oknie. Pomyśl sobie, jeżeli służąca skorzysta z naszej nieobecności i...

— I w twojej sukni pójdzie na bal — dodałem.

— Myślisz, że ona tego nie potrafi.

Objąłem moją żonkę za szyję i powiedziałem jej do ucha:

— Wiesz co Maryniu, przecież w domu najlepiej.

— Geniu—rzekła uradowana—więc pojedziemy do domu?

— Dziś jeszcze.

I rzeczywiście tego samego dnia wieczorem spakowaliśmy nasze rzeczy, pobłogosławiliśmy służbę hotelową różnemi napiwkami i—wróciliśmy do Lwowa.

Kronika.

Lwów 31 stycznia.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej Swej szkatuły gminie Hłomcza, w powiecie sanockim, na budowę szkoły zapomogi w kwocie 100 zł.

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, powrócił dziś rano do Lwowa.

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, bawił wczoraj w Krakowie i udzielał posłuchań. Między innemi był także na audjencji rektor uniwersytetu, dr. Korczyński, wraz z prof. dr. Zollem, prezydent miasta Szlachtowski, nadkomisarz policji Kostrzewski i wielu innych.

W końcu udzielił p. Namiestnik posłuchania trzem uczniom uniwersytetu, przybyłym z powodu wiadomych zajść ostatnich.

P. Namiestnik w prawdziwie ojcowskich słowach wyraził potępienie nieporządków, które przynoszą ujmę nie tylko sprawie uniwersytetu, ale całemu społeczeństwu naszemu.

Dwa są — mówił — obowiązki młodzieży uniwersyteckiej: nauka i posłuszeństwo dla profesorów i władz uniwersyteckich.

Ubolewał więc nad objawami, które były właśnie zapomnieniem tego drugiego obowiązku. Nie o to chodzi, czy młodzież ma zaufanie do profesorów, ale o to, aby ona umiała wzbudzić do siebie ufność profesorów i całego społeczeństwa. P. Namiestnik zapewnił, że sprawa uniwersytetu krakowskiego i sprawa młodzieży zawsze gorąco leży mu na sercu, ale z tego właśnie powodu przestrzega młodzież, aby zaniechaniem nieporządków, pracą i nauką, powolnością dla władzy uniwersyteckiej wzmocniła tę ufność rządu i całego społeczeństwa, którą zachwiać mogły zajścia dni ostatnich.

Posłuchanie trwało blisko pół godziny.

Posiedzenie Rady miejskiej odbyło się wczoraj. Radny p. Niemczynowski postawił wniosek, żądający organizacji szkoły im. św. Zofji. Szkoła ta zorganizowaną została w r. 1886 jako szkoła dwuklasowa mięszana i kreowano przy niej dwie posady nauczycielskie. Faktycznie ma ta szkoła jednak 6 klas, liczba dzieci uczęszczających do niej zwiększa się corocznie, zachodzi więc potrzeba pomnożenia posad nauczycielskich. Z tego powodu domaga się p. Niemczynowski nowej organizacji tej szkoły. Wniosek ten będzie traktowany regulaminowo.

Następnie wniósł p. Wali hiewicz interpelację, żądając wyjaśnienia, czy Dyrekcja tramwaju lwowskiego płaci od 1 lutego roku zeszłego dodatki gminne do podatków stałych (przez pierwszych lat 10 był tramwaj uwolniony od tych dodatków).

Sekretarz Magistratu p. Hobgarski odpowiedział zaraz na tę interpelację i wyjaśnił, że towarzystwo tramwajowe od roku już dodatki te opłaca.

W sprawie wydzierżawienia łaźni ś. p. Ducheńskiego wszczęła się dość żywa dyskusja, gdyż niektórzy radni żądali, aby gmina miasta Lwowa w własnym zarządzie łaźnię te prowadziła. Ostatecznie utrzymał się wniosek komisji i postanowiono łaźnię tę wydzierżawić.

Posadę komisarza konceptowego Magistratu uchwalono obsadzić bez konkursu, tudzież uchwalono nabyć część gruntu należącego do probostwa św. Pietnic, a to celem uregulowania ulicy Balonowej.

Na tajnem posiedzeniu nadano pannie Schulbaumównej posadę starszej nauczycielki w szkole żeńskiej im. Czackiego.

Bal Koła udał się znakomicie i pod każdym względem. Chcąc opisać szczegółowo samą dekorację obu sal kasyna mieszczańskiego i ich przedsionka, musielibyśmy obszerny ustęp temu poświęcić; dość, jak powiemy, że tyle artystycznego smaku i wprost bogactwa urządzenie owych sal dotąd chyba nigdy jeszcze nie przedstawiało. Zwłaszcza przemiana pierwszego, mniejszego apartamentu, na buduar w stylu czysto wschodnim, wypadła świetnie, dzięki energji, zabiegom i towarzyskim stosunkom p. Stefana Starzewskiego a uczynności jego przyjaciół.

Z przyjemnością, którą u wstępu widok ten paniom sprawiał, łączyła się druga: pełen gustu i wytworności prezent w postaci „porządku tańców". Introligatorskie to cacko daje nam miniaturę i podobiznę starożytnego papyrusu w pergaminie; na grubych żółtych jego kartach niknęły nazwiska danserów śród mnóstwa hieroglifów i charakterystycznych scen z-życia nadnilowych ludów. Drogą stosunkowo, ale bardzo miłą pamiątką obdarował w ten sposób komitet uczestniczki balu literackiego. A jawiło się ich sporo. Już o godzinie dziewiątej zapanował wszędzie gwar i tłok. Z trudnością można było śledzić piękności „wesela huculskiego", które ośm par dobranych, w otoczeniu kilkunastu innych. a pod wodzą znanego miłośnika i znawcy huculszczyzny prof. Włodzimierza Szuchiewicza, wykonało z nadzwyczajną precyzją, tworząc obraz śliczny swą barwnością i obcą nam dotąd, bo wierną charakterystyką tego widowiska. Wspaniały ten moment balu uwieńczyły gromkie oklaski, a wrażenie z niego nierychło zatrze się w pamięci widzów.

Pospolite ruszenie do pierwszego kadryla wykazało par 88 na 600 zgromadzonych osób; widocznie większość wolała — obserwować. Wyjątkowo nie dziwimy się temu i tem się nie gorszymy; było bowiem na co patrzeć. W szeregach tanecznej armji sprężyście i niezmordowanie kierowanej słynną arangerską ręką p. Adolfa Abrahamowicza i jego „powiernika" dra Henryka Kopeckiego, migały się przed oczami zwartej falangi spektatorów tu ładne kostjumy, tam wdziękiem i urokiem tchnące postacie, przesuwała się żywa panorama wszystkiego, co piękne i miłe oku było do widzenia.

Bal skończył się o piątej rano.

W bieżącym sezonie bitwa to dotąd najwalniejsza bezsprzecznie. Nigdzie tyle osób nie było i prawdopodobnie nie będzie; nigdzie tak się nie bawiono i nigdzie chyba u nas, w tak ciężkim roku, nie zostanie uzyskany taki czysty dochód, który—o ile nam wiadomo — ma sięgać 1000 zł. Koło literackie zatem może śmiało powinszować sobie nowego a tak wielkiego sukcesu. [* *]

Konkurs na budowę teatru w Krakowie. Krakowska komisja teatralna uznała za najlepszy plan pp. Ekielskiego i Stryjeńskiego.

Zmarli. Ludwik Nałęcz Kobierzycki, likwidator krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, zmarł we Lwowie dnia 29 b. m. w 74 roku życia. — Józef Modliński, właściciel dóbr Krzywosądz, zmarł tamże w 79 roku życia. — Jan Stroicz, rachunkowy podoficer, zmarł we Lwowie dnia 29 b. m. w 28 roku życia.

Z Załoziec nam donoszą, że Najprzewielebniejszy metropolita Sylwester przybędzie w czerwcu do Zwyżyna na poświęcenie nowowybudowanej tam cerkwi i zagości w domu hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego w Pieniakach.

Z Tarnopola nam donoszą, że w niedzielę, d. 2 lutego 1890 o godz. 4 po południu odbędzie się w sali towarzystwa „Sokół" koncert muzyki wojskowej 15 pułku piechoty.

Z Sokołowa pod Rzeszowem piszą nam:

„Wyczytawszy w *Przeglądzie* wiadomość o wyniku wyborów do Rad gminnych po małych miasteczkach, pośpieszam i ja dorzucić fakt dla uzupełnienia prawdy waszego artykułu.

Oto i w naszem miasteczku odbyły się wybory burmistrza, w miejsce poprzedniego suspendowanego, a potem usuniętego z urzędu. Przy wyborach odbytych dnia 25 bm., został wybrany burmistrzem izraelita, dla tego bo wybory ogłoszono zaledwie kilka dni naprzód i do tego późno wieczór, tak więc z katolików było na tych wyborach zaledwie czterech. Pośpiech ten był obliczony na to, żeby większość Rady była z żydów, i żeby obrano bumistrzem żyda. Stało się zatem zadość życzeniu i woli pewnej partji inteligencji sokołowskiej, która pragnęła gorąco, by burmistrzem został wybrany jeden z synów Izraela i kandydaturę jego silnie popierała.

Tak więc z łaski pewnej kliki inteligentnej, będzie miastu, które ma 2500 ludności katolickiej, a izraelitów około 2000, przewodniczył żyd, którego przedstawiono przed p. marszałkiem naszym jako wzór do naśladowania. Atoli nasz marszałek powodowany roztropnością nie pośpieszył się z udzieleniem mu pochwały piśmiennej i skończyło się tylko na słowach.

Pięknych doczekaliśmy się czasów!"

Ze strony najdokładniej poinformowanej otrzymujemy kategoryczne zaprzeczenie podanej przez nas za dziennikami wiedeńskiemi kilka dni temu wiadomości, jakoby ks. biskup Hryniewiecki miał zamieszkać we Lwowie.

Z Wilna piszą:

W tych dniach przywieziono pod strażą do Wilna niezwykłe oryginalną postać. Jest to 80-letni izraelita, posądzony o obłęd umysłowy. Zatrzymano go pod Wilnem w czasie jego pieszej podróży boso po śniegu, w spodniach kolorowych, z olbrzymim parasolem w ręku. Przy starcu znaleziono ze sto autografów różnych rabinów, stwierdzających jego głęboką erudycję talmudyczną i polecających współwyznawcom obdarzanie go datkami pieniężnemi. Jak się pokazało, oryginalnym podróżnikiem, który pieszo przewędrował całą Europę, jest mieszczanin brzeski, Peresz Abolnik. Po skonstatowaniu osoby starca uwolniono go z aresztu. Pobyt w Wilnie szanownego erudyta wśród żydów miejscowych wywołał wielką sensację.

Krwawa tragedja miłosna odegrała się w tych dniach w Wilnie. Głównymi jej bohaterami byli: p. G., kobieta licząca blisko pół wieku życia, i p. S., będący rówiennikiem jej młodszego syna. Przed rokiem 50-letnia G. i 25-letni S. zapałali nagle ku sobie wielką miłością. Pani G. porzuca męża i dzieci dorosłe i wyjeżdża ze swym kochankiem za granicę, aby tam się oddać nieco spóźnionej miłości. Przed dwoma tygodniami niezbyt dobrana ta para powraca do Wilna. Kobieta spotyka się przypadkiem na ulicy z mężem; lepsze instynkta brać w niej górę nagle zaczynają, uczciwa przeszłość staje jej nagle przed oczami... żona i matka pragnie powrócić na łono zdradzonej rodziny... Mąż przywraca jej prawa, z których się dobrowolnie wyzuła. O rozstaniu jednak ani chce słuchać chorobliwie namiętny kochanek, gdy zaś prośby jego, zaklęcia i łzy nie odniosły skutku, S. strzela kilkakrotnie do swej „niewiernej" kochanki, a następnie, zanim się zbiegła służba, celnym strzałem pozbawia życia i siebie. Mąż i dzieci, którzy już o odzyskaniu żony i matki marzyli, znaleźli się wobec jej trupa

Z Petersburga nam piszą: — W ministerjum spraw wewnętrznych przedłożono do zatwierdzenia statut towarzystwa, jakiego dotąd nie ma zdaje się nigdzie. Towarzystwo to będzie nosiło nazwę „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy kawalerów i panien". Rzecz polega na tem, że każdy kawaler i każda panna, wstąpiwszy do tego towarzystwa, opłacać będzie pewną miesięczną wkładkę tytułem asekuracji, a potem, gdy się ożeni lub wyjdzie za mąż, otrzyma odpowiednią do tej wkładki kwotę na zagospodarowanie się i urządzenie gniazdka małżeńskiego.

Formy asekuracji są przytem najrozmaitsze, więc nietylko można sobie zabezpieczyć kwotę na pierwsze zagospodarowanie się, ale także i na wydatki przy przyjściu na świat każdego dziecka.

W skutek tego mogą także i małżeństwa do tego stowarzyszenia należeć, jako też można będzie w tem towarzystwie asekurować posagi dla dzieci.

Teatr. Dziś w piątek po raz pierwszy „Walka o byt" dramat w 5 aktach a 6 odsłonach Alfonsa Daudeta.

Jutro w sobotę „Hugenoci", opera w 4 aktach Meyerbeera.

W niedzielę „Trójka hultajska", melodramat w 3 aktach Nestroya.

W poniedziałek „Przysługa", komedja w 1 akcie z p. Fiszerem: „Ernest" komedja w 1 akcie; „Piękna Galatea", operetka.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Wczoraj słuchaliśmy „Hugenotów" w nowej obsadzie. Wielkie to dzieło Meyerbeera znalazło tym razem wykonawców wcale dobrych i bardzo szczęśliwych, gdyż byli przy głosie nawet ci, którym to nie często się zdarza. — Przedstawienie w całości i w szczegółach wypadło tak, że można je zaliczyć do najlepszych z czasów ostatnich. Niedawno pisaliśmy obszerniej o primadonnie p. Pawlikowównie. Wszystkie cenne przymioty tej sympatycznej artystki występowały i wczoraj, zmuszając amfiteatr do gorących, serdecznych oklasków. Zbierała ich dużo także pani Skalska w swej partji królowej, od tak dawna tak dobrze u nas znanej. Mile zdziwiła wszystkich panna Frenklówna (paż), której głos po raz pierwszy tak silnie i jasno wystąpił w formie poprawnej a nawet efektownej; śliczną arję w akcie pierwszym okryto hucznem „Brawo!"

Trudną partję Marcellego śpiewał p. Jeromin z artyzmem tylekroć wykazanym, nadto zaś z niezwykłem ożywieniem; zadowolniona publiczność domagała się powtarzań.

Niemniej wiodło się wczoraj pp. Percuoco i Putó; zwłaszcza pierwszy, mimo braków już nie do usunięcia, zdołał w popisowym Raulu pomyślnie rozwinąć wiele brawury, która niekiedy porywała nawet słuchaczów, zwykle obojętnych dla nie dzisiejszego już tenora. [* *]

Część ekonomiczna.

Wiedeń 28 stycznia.

(*Z*) Dzisiaj krążyły pomyślniejsze wieści o Staatsbahnie, skutkiem czego akcje tej kolei przyszły nieco do siebie po wczorajszym spadku. To podziałało korzystnie także na inne papiery, z których szczególnie papiery lokacyjne ku zwyżce dążyły. Najbardziej poszukiwanym papierem była węgierska renta złota. Z Londynu donoszą, że do banku angielskiego wpłynęło mnóstwo złota i że skutkiem tego bank ten wkrótce zniży stopę procentową — spodziewają się więc, że i bank austro-węgierski będzie musiał pójść za przykładem banku angielskiego i zniży stopę procentową na 4 od sta. Skutkiem tego wzmocniło się usposobienie giełdy co do papierów bankowych. Z tych najbardziej dążyły ku zwyżce akcje banku austro-węgierskiego i Uniony. Papiery górnicze natomiast słabo się trzymały. Była chwila, że Alpiny spadły naraz o przeszło 3 zł. Ku końcowi giełdy jednak nagle znowu się podniosły.

Dewizy i waluty przez cały dzień słabo się trzymały.

Oto ostateczne notowania:

Kredyty austrjackie 324·25, węgierskie 348·75, Anglobanki 167·40, Uniony 261·75, Bankvereiny 124·—, Länderbanki 238·25, Ludwiki 186·75, Czerniowieckie 234·25, Renta papierowa 88·45, srebrna 88·60, austrjacka złota 109·73, papierowa 101·75, węgierska złota 103·50, papierowa 99.40. Ruble 1·28 3/5.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 31 stycznia. (pryw.) Ministerjum spraw wewnętrznych zezwoliło komitetowi ruskiemu na zbieranie składek dla mieszkańców Galicji dotkniętych nieurodzajem. (Komitet ruski wniósł był podanie do Namiestnictwa o pozwolenie na zbieranie tych składek; że jednak w tem podaniu prosił o pozwolenie na zbieranie składek nietylko w Galicji, ale w innych prowincjach Przedlitawji, więc Namiestnictwo decydować samo nie mogło i odesłało to podanie do ministerjum spraw wewnętrznych, jako do władzy jedynie kompetentnej w rzeczach dotyczących całej Austrji. — Przyp. Red.).

Petersburg 31 stycznia (pryw.) Minister spraw wewnętrznych przypomniał okólnikiem, przed paru dniami wydanym, gubernatorom Litwy, Wołyniu, Ukrainy i Podola, że do licytacji realności i gruntów położonych po za rogatkami miast i miasteczek mogą tylko być dopuszczane osoby mające w ogóle prawo władać ziemią w tych prowincjach; a zatem nie mogą być dopuszczani ani katolicy ani izraelici.

Synod zajmie się niebawem obradami nad projektem nowej ustawy, mającej podnieść znaczenie prawosławia i ułatwić mu walkę ze sztundą.

Berlin 31 stycznia (pryw.) Prof. Westphal, słynny psychjatra, inspektor Charité. umarł na rozmiękczenie mózgu.

Komisja budżetowa sejmu pruskiego oświadczyła się przeciw zaprowadzeniu porta osobowego na kolejach żelaznych, albowiem takie porto przyczyniłoby się do powiększenia w wielkich miastach ludności kosztem prowincji.

Wiedeń 31 stycznia (pryw.) Prof. paleontologji dr. Neumayr, zięć prof. Suessa, umarł w 44 roku życia.

Wiedeń 31 stycznia. Wczoraj, jako w rocznicę śmierci arcyksięcia Rudolfa odprawiano msze żałobne we wszystkich częściach monarchji Austro-węgierskiej, a także i zagranicą przy licznym udziale władz, korporacyj i pobożnych.

Rjeka 31 stycznia. Stan zdrowia hr. Ludwika Andrassy'ego budzi poważne obawy.

Hamburg 31 stycznia. Towarzystwa żeglugi parowej „Paketfahrt" i „Północno-niemiecki Lloyd" złożyły koncesję udzieloną przez rząd austrjacki i zamknęły swe biura w Wiedniu.

Paryż 31 stycznia. Wczorajsze zgromadzenie wyborców republikanów trzynastej dzielnicy Paryża odbyło się wśród krwawej bójki; podczas mowy republikanina Fourniera wpadli do sali zwolennicy bulanżysty Mery, którego wybór unieważniono. W bójce został Mery raniony, a nadto kilka osób otrzymało niebezpieczne rany od pchnięć nożem, a kilka zostało lekko ranionych.

Dzienniki donoszą o russofilskiej demonstracji w Nicei podczas przedstawienia opery: „Życie za cara." Po trzecim akcie odegrała orkiestra hymn rosyjski wśród okrzyków: „Vive la Russie!", poczem śpiewano marsyljankę, której publiczność stojąco wysłuchała.

Haga 31 stycznia. Pierwsza izba przyjęła 33 głosami przeciw 3 budżet wojenny. Minister wojny oświadczył, że stanowczo jest przekonany, iż gdyby zaszła potrzeba mobilizacji, to wypadnie ona w Holandji doskonale i zaproponował wybór jeneralnego komitetu, któremuby mógł dać wszystkie żądane wyjaśnienia.

Izba odrzuciła ten wniosek, biorąc na uwagę, że nie jest w stanie wydać swego sądu o takich wiadomościach, a gabinet odpowiedzialnym jest za to, co się stać może.

Sofja 31 stycznia. *Agence balcanique* oświadcza, że doniesienia dzienników serbskich o mobilizacji armji bułgarskiej i o obwarowaniu granicy bułgarskiej nie mają żadnej podstawy, a powód do tych doniesień dała prawdopodobnie ta okoliczność, że rząd serbski zamierza wkrótce zażądać w skupczynie kredytu na cele armji. Rokowania w sprawie zawarcia serbsko-bułgarskiego traktatu handlowego trwają dalej, jakkolwiek są różnice co do niektórych punktów taryfy.

Ogłoszony dziennikami tekst noty bułgarskiej na cyrkularz rosyjski w sprawie bułgarskiej pożyczki jest w wielu miejscach niezgodny z autentycznym tekstem tej odezwy.

Paryż 31 stycznia. *Temps* potwierdza wiadomość, że car nie przyjął urzędu sędzi rozjemczego w sporze o granice Gujany i dodaje, że winę tego ponosi nie Francja, lecz Holandja, która poczyniła takie zastrzeżenia, jakich car przyjąć nie mógł.

Liczba wypadków śmierci w Paryżu spadła w ostatnim tygodniu na 1.147, a jak na tę porę roku jest to śmiertelność normalna.

Temps uważa przedwczorajsze ogólne zgromadzenie jako łapkę zastawioną większości republikańskiej i spodziewa się, że cel zamierzony nie zostanie osiągnięty.

Journal des Debats pisze w tym samym duchu, a wszystkie dzienniki twierdzą zgodnie, że zgromadzenie to wcale się nie powiodło.

Izba unieważniła 253 głosami przeciw 219 wybór konserwatysty Lorean, wybranego posłem z Gien, a to z powodu, że wywierał on presję na swych robotników.

Paryż 31 stycznia. Wielka komisja cłowa wybrała Meline'a swym prezydentem. Meline w mowie swej oświadczył, że większość komisji nie ma żadnego z góry już powziętego zdania, nie żywi żadnych osobliwych zachcianek i ma zamiar nie wychodzić po za granicę potrzebną dla obrony narodowej pracy. Dla francuskich producentów nie żąda ona żadnych przywilejów ani zakazów przywozu obcych produktów. Przy końcu swej mowy rzekł Meline: „Ambicja nasza w tem tylko polega, aby nam wolno było z obcymi współzawodnikami walczyć równą bronią".

Berlin 31 stycznia. Rada związkowa przyjęła do wiadomości uchwały parlamentu w sprawie ustawy o socjalistach i zgodziła się na zmianę treści ustawy dotyczącej regulaminu ruchu wschodnio-afrykańskiej żeglugi parowej. Berlińska Rada miejska uchwaliła zaciągnąć nową pożyczkę w wysokości 55 miljonów.

Strassburg 31 stycznia. Namiestnik otworzył sesje wydziału krajowego mową, w której wskazał na pomyślny stan finansów. Dawne prezydjum ponownie wybrano. Schlumberger przewodniczącym.

Ateny 31 stycznia. Influenca niknie, mimo to zwiększyła się śmiertelność w dniach ostatnich sześciokrotnie.

Ajencja Havasa donosi z Krety, że obawiają się tam wybuchu powszechnego powstania. Turcy nie mogą się utrzymać po wsiach i uciekają do twierdz.

Utrzymuje się pogłoska, że Trikupis zaangażował się zanadto w sprawie kreteńskiej i obawia się kolizji finansowych, to też chciałby on pogodzić się z opozycją, lecz ta waha się wobec trudnego położenia.

Nadesłane.

Oznajmienie.

Wybrany do Wydziału Towarzystwa imienia Stanisława Staszica, rezygnuję z godności członka zarządu pomienionego Towarzystwa. Wybór treści książeczek, przez Towarzystwo rozpowszechnianych, bywa aktem samowoli jednostki, podczas gdy w Towarzystwie przysługuje komisji redakcyjnej prawo wyboru przedmiotów do druku i rozpowszechniania. W braku skutecznego poparcia w obronie praw komisji redakcyjnej, ze strony uprawnionej i obowiązanej, **usuwam się od wszelkiej odpowiedzialności** za prowadzenie spraw Towarzystwa imienia Stanisława Staszica w ogólności, a za kierowanie wydawnictwem tego Towarzystwa w szczególności.

We Lwowie, w styczniu 1890 roku.

Albin Solecki.

Przyjechali do Lwowa

31 stycznia 1890.

HOTEL GEORGA. O. Schnell z Firlejówki. A. hr. Wodzicki z Olejowa. J. Br. Wattmann z Rudy. A. Olszewski z Dźwienierczki. Medwey z Morszyna. St. hr. Dzieduszycki z Gwoździca. A. Bisset z Peczyniżyna. J. Schneir z Krakowa. W. Gecman z Pragi. J. Pappe z Petersburga. H. Reyman z Węgier.

HOTEL ANGIELSKI. B. Skibniewski z Balic, B. Czerwiński z Szczepiatyna. E. Hrymak z Ulhowek. A. Koryzna Kokurewicz z Liska. H. Rostworowski z Sławny. E. Petrowicz z Orawczyka.

Z zbożowych targów.

30 stycznia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	8·75 9·60	8·50 9·70	8·40 - 9·20	8·90 - 9·70
Żyto	7·5 — 8·10	7·25 7·85	7·10 7·7	7·65 — 8·30
Jęczmień	[illegible]·25 8·5	6·— 8·—	6·— 8·—	6·75 — 8·70
Owies	7·50 8·—	—·— 7·50	7·50 —·—	7·25 — 8·—
Groch	6·75 12·—	[illegible]·50 11·—	6·— 12·—	7·— 12·—
Wyka	5·60 6·—	4·80 5·25	0·— 0·—	—·—
Rzepak	15·50 16·5	15·— 16·—	15·— 16·—	15·65 16·75
Chmiel	25 45 —	—	—	—
Konic. czer.	49 — 65 —	48 64	48 63	50 — 65 —
Konic. biała	—	—	—	—
Okowita	11·50 11·75	—	—	—

wszystko (z wyjątkiem chmielu) za 100 kilo netto bez worka.

Usposobienie ożywione. Tendencja zwyżkowa.

Lwów. Z Izby handlowej 31 stycznia 1889

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	187	—	190	50
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	234	—	237	25
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	298	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	216	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Banku hyp. galic 5 prc. w. a.	101	15	102	15
6% Listy zastaw. Galic. Zakładu kredytowego ziemskiego 36 lat.	—	—	—	—
Banku hyp. galic. 5 prc. 10% pr.	105	—	106	—
Banku krajowego 4½% wa.	98	35	99	35
Tow. kred. galic. 5 „ „	101	60	102	60
„ „ „ 4 „ „	97	—	98	—
„ „ „ 5 „ „ los w 37. l.	101	60	102	60
„ „ „ 4 „ „ „ „ 41½	94	40	95	40
„ „ „ 4 „ „ „ 52 l.	99	60	100	60
„ „ „ 4 „ „ „ 56 „	93	40	94	40
3 Listy dłużne za 100 złr				
G. Z. kr. wł. (d 6%) 3% w likw.	55	—	58	—
„ „ „ „ (d) 5 2	6	—	49	—
4 Obligi za 100 złr.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	—	105	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100	50	101	50
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	104	—	106	—
„ „ „ 1883 4 „	97	25	98	25
Galic: fund. propinacyjnego 4% „	91	60	92	60
5 Losy;				
Losy miasta Krakowa	23	—	25	—
„ „ Stanisławowa	—	—	36	—
6 Monety				
Dukat holenderski	5.48		5.58	
Dukat cesarski	5.55		5.65	
Napoleondor	9.35		9.45—	
Półimperjał rosyjski	9.65		9.75	
Rubel rosyjski srebrny	1.32		1.42	
„ „ papierowy	1.28—		1.30—	
100 marek niemieckich	57.55		58·55	

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 31 stycznia godz. 1. min. 45

Akcje kredyt.	324.35	Węg. kolej półn. wschodn.	191.—
Alpiny	107.80	Wiedeńskie losy kom.	142.50
Kredyty węg.	348.50	Akcje tyton.	117 —
Anglobanki	165 —	Gal.obl.indem.	104.75
Uniony	260.75	Elbethale	220.50
Ludwiki	188.50	Länderbanki	239.50
Nordbany	262.—	Renta zł. węg.	103.50
Lombardy	136.—	Bankvereiny	123.75
Losy tureckie	3 .90	Renta węg. pap.	99.50
Staatsbahny	219.—	Ruble	128.50
Czerniowieckie	234.50		

Usposobienie silne.

Pociągi kolejowe.

Podług zegaru lwowskiego (Od 1 października 1889.)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg posp. lub kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mięszany
Z Krakowa	[illegible]·08	8·50	9·28	7·15
Z Podwołoczysk	2·20		3·15	7·00
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·08	10—	2·38	6·22
Z Suczawy, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa	8.05	7—		
Z Suczawy, Czerniow. i Stanisł.		6·55		
Z Suchej, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja		8·36		
Z Suchej, Chyr. Ław. i Stryja		8·26		
Z Pesztu, Ławocznego, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Stryja		12·08		
Z Bełzca (Tomaszowa)				5·21
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	4·20	7·20	8·30
Do Podwołoczysk	4·11		9·52	10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4·22	7·—	10·28	11·05
Do Suczawy Czerniowiec, Stanisławowa i Husiatyna	9·16	10·13		
Do Stanisławowa, Czerniowiec i Suczawy		4·25		
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna, Chyrowa i Suchej		8·45		
Do Stryja, Chyr. Ław. i Suchej		10·20		
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna, Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Stróża		6·50		
Do Bełzca (Tomaszowa)				7·48

Uwaga: Godziny drukowane kursywą, oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5 m. 59 rano.

42)

CZERWONA DAMA.

Powieść z francuskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Zdejmij pan swój knebel i chustkę z oczu.

Tym razem Jottrat nie śpieszył się z wypełnieniem rozkazu, gdyż sądził, że z niego drwią nielitościwie, jak ze związanego i ubezwładnionego. Lecz za pierwszem poruszeniem przekonał się, że jest oswobodzonym ze sznurów.

Mógł więc teraz patrzeć i mówić.

Jednym skokiem zerwał się na nogi i drżącemi rękoma oderwał knebel.

— Zdejm pan chustkę i otwórz oczy! — krzyknął znowu głos, który się zdawał płynąć z wysoka.

Jottrat zwolna tylko odwiązywał chustkę, bo zdawało mu się, że ujrzy przed sobą jakieś okropne widowisko. Ręce jego drżały, tak, że potrzebował dosyć długiego czasu, zanim rozwiązał chustkę z tyłu.

Kiedy spadła mu z oczu, doznał olśnienia. Oczy, odzwyczajone od światła przez długą chwilę, zamknęły się mimowoli, i upłynęła minuta, zanim mógł spojrzeć spokojnie. Wtedy obejrzał się wokoło.

Znajdował się w sali kwadratowej, której ściany pokryte były stiukiem gładkim, odejmującym jej wszelakie pozory więzienia. Zdawałby się mogło, że jest to pokój w oberży, w jakiemś mieście na Południu Francji. Powała wprawdzie była taką jak bywa w suterenach, lecz umeblowanie tego szczególnego pokoju nie miało bynajmniej więziennego wyglądu.

W rogu — łóżko żelazne, bardzo skromne i nadzwyczaj czyste, szafa, kilka krzeseł i dwa fotele ustawione wzdłuż ściany; w głębi sprzęt podobny do szafki albo do krzesła, z orzechowego drzewa; w rogu przeciwnym — stół przygotowany do pisania. Dwie lampy, zawieszone u sklepienia oświetlały obficie wnętrze tego pokoju, dosyć podobnego do mieszkania studenta lub gryzetki. Obfitość jadła, zastawionego na gierydonie, uzupełniała powyższe złudzenie. Niby się było u kawalera, który oczekuje przyjaciela ze śniadaniem.

Kiedy Jottrat objął już to wszystko dokładnem spojrzeniem, przekonany był, że jest we śnie a nie na jawie. Osłupienie jego było tak głębokie, że stał nieruchomy na miejscu, bojąc się postąpić kroku naprzód, żeby się złudzenie nie rozwiało.

Dopiero głos z góry przywołał go do rzeczywistości:

— Dobry wieczór! — krzyknął nań niewidzialny dozorca — jesteś pan u siebie, śpij dobrze!

Zanim miał czas podnieść głowę, szelest krótki ostrzegł go, że klapa się zamknęła, bo gdy spojrzał w pułap, nie dojrzał nic.

Rzecz nie do uwierzenia.

Męczarnie, których się tak lękał, ograniczyły się, jak na teraz, na więzieniu, nie zdającem się być nader srogiem, sądząc po jego umeblowaniu i zaprowiantowaniu. Lecz zamiast się tem uspokoić, Jottrat przeciwnie ulękł się tej łagodności. Zapytał się bowiem, czego może żądać od niego ten pan de Noreff, gdy postępuje się tyle ostrożnościami? Podejrzywał go o ohydne zamysły.

Agent policyjny, złapany w sidła, zdecydował się obejść całe swoje więzienie, ale rozpoczął z pewnym lękiem; nie mógł bowiem pozbyć się mniemania, że za lada krokiem noga jego potrąci o jakąś pułapkę, a on wpadnie w przepaść. Lecz pierwsze to obejrzenie miejscowości nie przyniosło żadnego rezultatu i nie odkryło mu żadnej tajemnicy. Była to zwyczajna sklepiona izba podobna do więzienia z jednego tylko względu, to jest, że nie było widać drzwi.

Jottrat nadaremnie dotykał się ścian; nigdzie nie dostrzegł styczności z inną izbą, ani żadnego wyjścia. Ściany były gładkie, jak gdyby z porcelany. Oczywista rzecz przeto, że wchodziło się tu przez sklepienie za pomocą ukrytego w niem mechanizmu.

Sklepienie zaś było bardzo wysokie i źle oświetlone lampami, których światło za pomocą daszków kierowało się ku dołowi. Nadzwyczaj trudno było rozpoznać budowę sklepienia, i dla tego Jottrat postanowił nazajutrz przypatrzyć mu się dokładniej.

Myśl, że w tym celu musi zaczekać na jasność dnia, nasunęła mu pytanie, czy w ogóle dochodzi kiedy jasność dnia do tego podziemia. Wszystko, bo i długość czasu gdy go tu niesiono, i liczba wschodów, które porachował, kazało przypuszczać, że więzienie jego umieszczone jest bardzo głęboko pod ziemią. Mógł jednak odróżnić w części wyższej ściany, do której stał teraz zwrócony twarzą, długi otwór oszklony — bo blask lampy migotał się po tej szybie — i znowu myśl, że grób miał jakieś wyjście, utkwiła w jego mózgu. Rzekł nawet:

— Tędy wyjdę.

Obejrzawszy wszystko, sufit i podłogę pokrytą smołą ziemną, chciał obejrzeć meble.

Szafa w głębi zawierała półki, na których stały przedmioty potrzebne do użycia, a głównie dzban z wodą. Obok, w niewielkim bufecie, leżała bielizna, stało kilka butelek wina, cukier, likiery, nawet pudełko z tytoniem i pudełko z cygarami. Przewidziano wszystko, choćby i kaprysy więźnia. Łóżko zwyczajne, podobne do łóżka szpitalnego.

Jottrat, zbity moralnie i fizycznie nie mógł się już spodziewać nowych odkryć. Położył się przeto, całkiem ubrany, i zasnął głęboko.

Umysł jego, zbyt długo naprężony, zapadł w letarg, tak jak siły fizyczne, które, po wielkiem wytężeniu w pracy, zapadają w martwość.

Sen jego ciężki bez widziadeł i marzeń trwał blisko dwanaście godzin.

Kiedy Jottrat otworzył oczy, ujrzał obraz zmieniony. Lampy znikły, a dzień o wątpliwem świetle wkradał się do celi. Pierwszem poruszeniem więźnia była radość. Zatem nie był żywcem zagrzebany, skoro widział światło dzienne, to światło, przyświecające wesołym miastom i uroczym krajobrazom. Zdawało mu się, że ten wątły promyk słońca utrzymuje go w związku ze światem zewnętrznym.

Zaczął sobie zdawać sprawę z tej niespodziewanej jasności. Nie omylił się wczoraj, gdyż otwór, który dojrzał pociemku, istniał rzeczywiście. Umieszczony wysoko na kilka stóp, zajmował całą długość jednej z czterech ścian kwadratowych tej izby, lecz dosięgnąć go byłoby trudno, chociażby za pomocą mebli, ustawionych jedne na drugich. Wtedy też przekonał się, że izba ma najmniej dziesięć metrów głębokości. Ta ogromna przestrzeń między ziemią a sklepieniem wytłómaczyła mu brak kraty przy owym otworze. Nie zabarykadowano go, ponieważ był niedostępnym.

Gdzie mógł wychodzić ten otwór oszklony, otrzymujący jedną stroną światło, gdy przeciwnie izba zdawała się być wydrążoną głęboko pod ziemią? Zagadka stawała się nie do odgadnięcia dla Jottrata, który, wyczerpawszy wszelkie przypuszczenia, nie chciał jej już dalej rozwiązywać.

Nic wreszcie w umeblowaniu izby nie zostało zmienionem podczas nocy. Ujrzał znów gierydon z przygotowanem jadłem, wielką szafę i stół do pisania. Teraz też uczuł głód szalony, a ponieważ postanowił czekać dalszych wydarzeń i wytrwać w walce aż do końca, zatem uważał za stosowne zgodzić się na życie w tej postaci, w jakiej mu je ofiarowano.

Zasiadał więc do stołu i jadł z prawdziwym apetytem. Uczta ta była nawet dla niego zbawienną, bo mu wróciła siły fizyczne i rozbudziła czynność umysłu, sprowadziwszy równowagę w tem biednem ludzkiem ciele.

Znowu chciał rozpocząć przegląd swojej celi z tym samym uporem więźnia, pragnącego odzyskać wolność, kiedy nagle jego oczy zatrzymały się na przedmiocie, niedostrzeżonym wczoraj.

Na środku izby leżała wielka księga oprawna, Jottart zrozumiał natychmiast.

Foliał ten wytłómaczył mu odrazu ostrożności z razu przedsięwzięte, celem przeszkodzenia mu w ucieczce i troskę o jego życie. Chciano go dotąd zatrzymać, dopókiby nie odczytał tajemnicy tej księgi, której karty zawierały w sobie fortunę. Zatem życie zapewniono mu na czas jakiś, lecz potem? Kto zapewi nieszczęśliwemu, że uniknie zemsty tego łotra, gdy on już znać będzie ową tajemnicę? Czyż właśnie nie będzie mu najpierw zależało na tem, ażeby się pozbyć człowieka, któryby go mógł zdradzić i przeciw któremu zwłaszcza ma dawne już i poważniejsze powody do zemsty?

Jottrat, rozważając wszystko, czuł się najoczywiściej zgubionym. Zapytywał się tylko jeszcze sam siebie dla czego tak starannie ukrywają przed nim prawdziwe położenie tego więzienia? Wszak jeżeli z niego już wyjść nie ma, pocóż sobie tyle trudu zadają? Umarli nie mówią, zatem nie wiele mogło im na tem zależeć, czy on zna dobrze położenie tej nory, skoro w niej zadusić go zechcą.

Cokolwiek uspokojony tem rozumowaniem zasiadł przy stole i popchnięty ciekawością raczej, aniżeli ochotą służenia panu de Noreff, roztworzył księgę.

Tytuł: „Historja prowincji Normandji", wybijał się wielkiemi zgłoskami drukowanemi na czerwono i czarno zaraz na pierwszej karcie, według zwyczaju XVII wieku. Wydało mu się zaraz to dziwnem, że książka, w której niby Szwed ukrył tajemnicę swego majątku, była właśnie jednym z tomów dzieła francuskiego, bardzo mało znanego. Przeczucie ostrzegało go wreszcie, że tom ten może zawierać całkiem inną tajemnicę, tak że dopatrywał się mimowoli dalekiego związku pomiędzy tą Historją Normandji, a podróżami margrabiego de Mensignac.

Przewracał zwolna pierwsze kartki, gdy znak na pół zatarty zwrócił jego uwagę. Znakiem tym był herb wyryty u spodu karty, w którym można było doskonale rozróżnić koronę i godło. Jottrat nachylił się żywo, ale nic z tego herbu domyślić się nie mógł. Nauka jego heraldyczna była zbyt skromną, iżby był zdolny poznać herb Mensignaców, jakkolwiek zdawało mu się, że go już gdzieś widział.

Zagłębił się zwolna w swej zadumie, oparłszy głowę na rękach, gdy posłyszawszy lekki szelest, odwrócił głowę. Nie mógł powstrzymać okrzyku zadziwienia.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor **Wacław Masłowski**, Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. Manieckiego. — Zarządca Walenty Hodak.